

GAZETA KRAKOWSKA

Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

NR INDEKSU 35015
PLISSN0208-7693

Kraków • Nowy Sącz • Tarnów

20, 21 II 1988 r.

Nr 42 (12141)

Rok XL

Cena 30 zł

Wyd. 1

W 10. rocznicę uchwalenia deklaracji ONZ

Przygotowanie do życia w pokoju

Spotkanie przedstawicieli
Polskiego Ruchu Pokoju

WARSZAWA (PAP). W br. mija 10 lat od uchwalenia deklaracji ONZ o przygotowaniu społeczeństw do życia w pokoju.

Rozważaniom nad treściami i realizacją tego dokumentu, przyjętego z inicjatywy i na podstawie polskiego projektu, poświęcone było w piątek 19 bm. zgromadzenie sił społecznych współpracujących z Polskim Ruchem Pokoju.

Obok dotychczasowych uczestników ruchu, jak Ogólnopolski Komitet Pokoju, Polska Rada Badań Pokoju, PRON, Rada Programowa Biblioteki Pokoju, pokojowe grupy i

ruchy profesjonalne na rzecz pokoju, Kościoły skupione w Polskiej Radzie Eklezjalnej, do sali Kolumnowej Sejmu przybyli po raz pierwszy także delegacja Społecznej Rady Episkopatu Polski z jej przewodniczącym prof. Władysławem Flindelsenem oraz Komisji Episkopatu Polski „Justitia et pax” w składzie prof. Franciszek Mazurek, prof. Andrzej Stelmachowski, ks. Aleksander Czycki.

W spotkaniu uczestniczyli jako obserwatorzy przedstawiciele Zespołu Badań nad Po-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Partyjna narada z udziałem Z. Messnera

Dostosować styl pracy do zmian ekonomicznych i społecznych

WARSZAWA (PAP). Być może reformować, organizacje partyjne muszą reformować się same, dostosować styl i metody pracy do zmian ekonomicznych i społecznych — to jeden z podstawowych wniosków prezentowanych podczas wczorajszego spotkania Egzekutywy Komitetu Warszawskiego PZPR z I sekretarzem POP ze stolicy i województwa. W spotkaniu, które odbyło się w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki z udziałem blisko 3 tys. aktywistów PZPR, uczestniczył premier Zbigniew Messner.

Wczorajsza dyskusja poprzedziła naradę środowiskową, na których również omawiano rolę organizacji partyjnych przedsiębiorstw i instytucji we wdrażaniu II etapu reformy.

Stoi przed nami zadanie przebudowy świadomości wielu członków POP, a także uświadomienia społecznego. Działalność partyjna musi odpowiadać ukladowi stosunków w produkcji, który z niemałym trudem wyłania się w II etapie reformy — to opinie

mówców na wczorajszym spotkaniu.

Do tych wypowiedzi nawiązał w swym wystąpieniu premier Zbigniew Messner. O powodzeniu procesu reformy gospodarki i życia społecznego zależy praktyczna zdolność do skutecznego działania — stwierdził. Potrzeba skuteczności nabiera obecnie wyjątkowego znaczenia, bowiem po długich i ostrych dyskusjach, po ogólnonarodowym referendum — „program realizacyjny II etapu reformy” został niedawno ostatecznie przyjęty.

100-LECIE AKADEMII MUZYCZNEJ W KRAKOWIE

TWORZYĆ i UCZYĆ

Rozmowa z KRYSTYNĄ MOSZUMAŃSKĄ—NAZAR,
rektorem Akademii Muzycznej w Krakowie

Profesor Akademii Muzycznej w Krakowie i od bieżącego roku akademickiego rektor tej uczelni, Krystyna Moszumańska-Nazar urodziła się we Lwowie. Studiowała fortepian i kompozycję w podwawelskiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej u profesora Stanisława Wiechowicza. W dorobku kompozytorskim ma m. in. Hexaédre (1960), Muzykę na smyczki (1962), Exodus (1962), Koncert na orkiestrę (1966), Rapsod II (1980) i wiele innych utworów. Jej „Madonny Polskie” będą wykonywane obok utworów Zbigniewa Bujarskiego i Krzysztofa Pendereckiego na zakończenie obchodów jubileuszowych Akademii Muzycznej w Krakowie dnia 25 listopada 1988 roku.

Uczy w krakowskiej Akademii kompozycji. Od wielu lat uczestniczy w pracach Związku Kompozytorów Polskich.

— Jak się czuje Jej Magnificencja w jubileuszowym roku Akademii Muzycznej?

— Jest dla mnie wielkim zaszczytem — odpowiada Krystyna Moszumańska-Nazar, że właśnie mnie przypadło przygotować i doprowadzić do wykonania naszej zamierzonej z owa datą, tak istotnie znaczącej się w dziejach zarówno Krakowa, jak i całego kraju, w dziejach polskiej kultury muzycznej. Chcę przede wszystkim, aby Akademia Muzyczna w Krakowie w realizacji programów artystycznych przygotowywanych na swoje stulecie wypadła najlepiej.

— Co to znaczy?

— Wraz z Komitetem Organizacyjnym 100-lecia zaplanowaliśmy na cały rok jubileuszowy pięć wielkich koncertów symfonicznych i kilkadziesiąt kameralnych w wykonaniu naszych studentów i pedagogów, jak również sesję naukową poświęconą twórczości kompozytorów krakowskich. Wszystkie te imprezy będą potwierdzeniem naszej pedagogiki i sztuki.

— Jest Jej Magnificencja — kompozytorką znaną i uznaną. Czy to wpływa dodatkowo na wykonywanie tych niełatwych obowiązków?

— Na stanowisku rektora wyższej uczelni muzycznej Krakowa jestem czwartym kompozytorem. Założyciel uczelni Władysław Żeleński ma swoją kartę w dziejach kultury polskiej. Również kierował konserwatorium krakowskim kompozytor Bolesław Walek-Walewski. Objęłam swe stanowisko po znakomitym Krzysztofie Pendereckim, Kompozytor w zarządzeniu uczelnią, gdzie uczy się tak wielu umiejętności muzycznych, ma szersze spojrzenie. Dzieje się tak dlatego, że musi on mieć żywy kontakt z otwórstwem,

z teorią, wreszcie z organizacją muzyki. Tak więc kompozytor absolutnie widzi więcej, nie jest i nie może być zamknięty zbyt szczerze w swojej specjalności. Musi brać pod uwagę wszystkie elementy potrzebne do uzyskania pełnej edukacji muzycznej.

— Czy ma Pani świadomość związku krakowskiej Akademii Muzycznej ze współczesną formacją muzyki polskiej?

— Mam pełną świadomość bogactwa doświadczeń krakowskiego ośrodka nauczania muzyki, który w zorganizowanej, współczesnej formie trwa 100 lat; przecież tradycje muzyczne prastarego miasta sięgają wczesnego Średniowiecza. Nic nie stoi w miejscu. Przepięknie edukacji artystycznej, wzrost wymagań o to rzeczywistość, w której my żyjemy. W związku z tym spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność. Trzeba więc doprowadzić młodego adepta sztuki do świadomości jego zadań, trzeba obać o to, aby i nauczyciel akademicki właśnie w krakowskiej szkole muzycznej prezentował najwyższą klasę. Akademia nasza jest skupiskiem wielu znakomitych kompozytorów, instrumentalistów, dyrygentów, teoretyków — by przypomnieć nazwiska Zbigniewa Bujarskiego, Tadeusza Machla, Marka Stachowskiego, Bogusława Schaeffera, Adama Walacińskiego, Krzysztofa Pendereckiego i do niedawna Krzysztofa Meyera jak również Jana Jargonia, Tadeusza Żmudzińskiego, Ireny Sijałowej-Vogel, Witolda Hermana, Barbary Świątek-Zelaznej i innych. Oni wszyscy oddają swą twórczością i autorytetem osobowości artystycznej na poziom nauczania w naszej akademii. Oczywiście rektor musi dbać o sprawy organizacyjne, rozbudowę i umocnienie określonych osiągnięć materialnych, w naszym przypadku o bieżące bardzo uciążliwe sprawy lokalowe.

— Co Jej Magnificencja może powiedzieć o rzeczywistych osiągnięciach naukowo-organizacyjnych Akademii Muzycznej w Krakowie w latach ostatnich?

— Prowadzimy 15 katedr. Programem ich działania są organizowane sesje naukowe, konkursy wykonawcze, wydawanie zeszytów naukowych itp. Działem Akademii Muzycznej w Krakowie — jest po raz pierwszy w dziejach nauczania teorii muzyki przekształcenie tej dotąd czysto praktycznej specjalności w dyscyplinę praktyczno-naukową. Spotkania muzyczne w Baranowie, które organizowaliśmy przez ostatnie 6 lat pod hasłem „Muzyka w kontekście kultury” to osiągnięcie bardzo konkretne.

(CIĄG DALSZY NA STR. 3)

KRÓTKO

(m) 19 BM. zakończyły się w Warszawie obrady I sesji polsko-irańskiej ministerialnej komisji ds. handlu, współpracy gospodarczej i technicznej.

WYWIADEM z ambasadorem PRL w ZSRR Włodzimierzem Natorfem dziennik „Prawda” zainaugurował w piątek cykl rozmów z szefami przedstawicielstw dyplomatycznych krajów socjalistycznych w Związku Radzieckim.

PREZYDENT Ronald Reagan mianował Paula Robinsona nowym szefem amerykańskiej delegacji na rozmowy w sprawie prób nuklearnych — stwierdza

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Pierwsze w V kadencji posiedzenie Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej

Zapowiedź przedstawienia programu rozwoju kadr naukowych do 2000 r.

WARSZAWA (PAP). 19 bm. w gmachu URM w Warszawie odbyło się inauguracyjne w kolejnej, V kadencji — posiedzenie Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej ds. Kadr Naukowych. W skład tego organu prezes Rady Ministrów powołał 226 uczonych reprezentujących różne dyscypliny i środowiska naukowe.

Zwracając się do członków komisji premier Zbigniew Messner podkreślił znaczenie przyjętej przez nich odpowiedzialności za właściwy rozwój

kadr naukowych, za przestrzeganie profesjonalnych i etycznych kryteriów ich doboru oraz życzył owocnej i twórczej pracy. Podziękował też członkom CKK poprzedniej kadencji.

Minister edukacji narodowej Henryk Bednarski wyraził nadzieję, że CKK zechce włączyć się do opracowywania nowych rozwiązań, doskonalących obecną model kształcenia i rozwoju kadr naukowych. Liczba kadr naukowych w minionym

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Rewolucja w banku

(Dalekopisem z Warszawy)

(Inf. wł.) W polskiej bankowości, po czterdziestu latach spokoju, zapowiadają się istotne trzęsienie ziemi, zaś wydzielanie Powszechnej Kasy Oszczędności było zaledwie skromnym preludium. Tak więc odchodzimy od bankowości monopolistycznej, ma być różnorodnie, kolorowo i konkurencyjnie. Narodowy Bank Polski staje się — ma to nastąpić od początku przyszłego roku — bankiem centralnym realizującym finansową politykę państwa. Natomiast kredytowaniem i obsługą kontrahentów zajmie się dziesięć komercyjnych banków kredytowych zlokalizowanych w Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie, Poznaniu, Łodzi, Katowicach, Krakowie i

Łublinie. Będą to banki uniwersalne o nieograniczonym terytorialnie obszarze działania. A każdy będzie mógł sobie wybrać dowolny bank.

W rozumieniu prawa dewizowego będą to także banki dewizowe. Zmienią będzie również stopa oprocentowania udzielanych kredytów od 18 do 30 proc., przy czym dla obszarów preferowanych takich jak: eksport, obniżenie materiałochłonności, kompleks rolnospożywczy i ochrona środowiska oprocentowanie będzie wynosiło od 9 do 14 proc. W wypadku szybszej spłaty kredytu czy też osiągnięcia lepszych parametrów kredytowanego przedsięwzięcia be-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Cmentarzyska kryły szkielety 73—100 tys.

żołnierzy radzieckich, włoskich i francuskich

O zbiorowych mogiłach w Dęblinie mówi
prof. K. Kąkol

WARSZAWA (PAP). W związku z poruszeniem, jakie wywołała informacja o niemieckich zbrodniach na włoskich jeńcach wojennych w Dęblinie („Stolica” 7.02.88) dziennikarz PAP zwrócił się o szczegóły do dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Pol-

sce — Instytutu Pamięci Narodowej prof. Kazimierza Kąkole. Wypada podkreślić — powiedział prof. Kąkol — iż informacja zamieszczona przez tygodnik nie była nowością. Stan faktyczny znany był o wiele wcześniej, a nawet (DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Urząd Rady Ministrów:

Żądanie poświadczeń notarialnych jest bezprawne

WARSZAWA (PAP). W związku z opublikowaną w środka masowego przekazu informacją Polskiej Agencji Prasowej sygnalizującą niepokojące zjawisko żądania przez niektóre instytucje i urzędy notarialnych poświadczeń wiarogodności podpisu na składanych przez obywateli oświadczeniach, co jest niezgodne z nowymi uregulowaniami prawnymi, dziennikarz agencji uzyskał następujące wyjaśnienie:

„Urząd Rady Ministrów informuje, że znieważzona ustawa kodeksa postępowania administracyjnego zobowiązała do zastąpienia zaświadczeń, o ile nie są one wymagane przepisami prawa, oświadczeniami złożonymi przed organem prowadzącym sprawę. Regulacja ta upraszcza załatwianie spraw obywateli i usuwa uciążliwość związane z uzyskaniem wymaganych dotychczas zaświadczeń.”

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Tarnów

W przededniu 42. rocznicy powstania ORMO

(Inf. wł.) W województwie tarnowskim do ORMO należy 6.550 osób. Działają one w 144 jednostkach terenowych, 263 specjalistycznych, 86 zakładowych. Najliczniejsze pod względem ilości członków są jednostki specjalistyczne zajmujące się sprawami przestępczości, ruchu drogowego, następstwa jednostki zajmujące się ochroną przyrody oraz te, które opiekują się nielet-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

ZAWSZE LEPIEJ

-tego wymaga sztuka narodowa

„Wreszcie po długich oczekiwaniach i zwycięstwie tysiąca przeszłości Konserwatorium uroczysto otworzyło dnia 1 lutego 1888 roku” — pisał sto lat temu gazety krakowskie. Na czele tego Konserwatorium stanął Władysław Żeleński — znakomity polski kompozytor, który osiedlił się na stałe w grodzie podwawelskim w roku 1881. Tadeusz Przybylski pisze w swej pracy, poświęconej dziełom nauczania muzyki w Krakowie: „Wówczas stosunki muzyczne Krakowa nie przedstawiały się ciekawie. Ruch koncertowy prawie zamarł, różnorodne skłócone koterie wzajemnie sobie przeszkadzały w podejmowaniu — dość rzadkich — zresztą — przedsięwzięć muzycznych... Z niewątpliwym przesileniem patrzył ten wszechstronnie wykształcony muzyk na niski poziom szkolni muzykalnej istniejącej przy Towarzystwie Muzycznym. Nie zrażony jednak sytuacją stanął do pracy pedagogicznej, podnosząc powoli poziom szkoły. Równocześnie rozpoczął usilne starania u władz austriackich, poparte przez kolejnych prezydentów miasta i inne, wpływowe osoby, m. in. przez uczennicę Chopina księżnę Marcelinę Czartoryską, o nadanie istniejącej szkoły tytułu i uprawnień Konserwatorium.”

W powstałej przed dekadą stu laty placówce skupiły się najlepsze w ówczesnym Krakowie siły pedagogiczne m. in. W. Rychling, W. Barabasz, S. Mirecki. Towarzystwo Muzyczne, do którego Konserwatorium należało, pozyskało też do współpracy takich znakomitych profesorów gry na fortepianie jak B. Domaniewski czy J. Lalewicz. Fortepian też zdominował proces nauczania chociaż uczelnia czyniła starania, by rozwinąć także i inne dyscypliny, jak np. nauczanie gry na instrumentach dętych. Znaczenia teoretycznego prowadził sam Żeleński, potem również J. M. Piotrowski, Zdzisław Jachimowski i Józef Reiss.

„Sprawozdania Wydziału Towarzystwa Muzycznego” mówią, że Konserwatorium mieściło się na pięttrze małego budynku przy placu Szczepańskim 3 (dzisiaj jest tam „Orbis”), a od roku 1905 w przebudowanym odpowiednio gmachu Starego Teatru. Na ogół nie pamięta się o tym, że owa przebudowa nadała nader interesujący kształt secesyjnej dawnej siedziby teatralnej, z którą związane były wczesne dzieła polskiej sceny pod Wawelem. Symbolika secesyjnych płaskorzeźb, tablica ku czci Żeleńskiego, to ślady dobrze pojętej aktywności działalności na rzecz muzyki.

Przed wybuchem I wojny światowej w Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie wykładało 20 nauczycieli, uczono 490 młodych ludzi — w 1931 roku było 39 pedagogów i 786 uczniów. Przed II wojną światową liczba uczących się spadała

do zaledwie 200 osób. Jak pisze historyk krakowskiej muzyki Tadeusz Przybylski, początkowo tok kształcenia trwał w Konserwatorium 4 lata; by niebawem w roku szkolnym 1891/92 rozwinąć się do lat 9 w zależności od specjalności, których liczba stopniowo zwiększyła się z 6 do około 30 (1) — w okresie największego rozwoju uczelni w 1931 roku. Nauczanie było 3-stopniowe: niższe, średnie i wyższe. Każdy z kursów trwał 3 lata. Z wybitniejszych pedagogów z okresu międzywojennego wymienić należy m. in. Egoną Petri, Wiktora Łabuńskiego, Olge Martusiwicza, Jana Hoffmanna (fortepian), Stanisława Mikuszewskiego, Artura Malawskiego (skrzypce), Konstantego Kniażina, Helenę Zbońska-Ruszkowska (śpiew solowy), Kazimierza Garbusińskiego (organy, chór, teoria). Oprócz klasa fortepianu bardzo prężnie działała klasa operowa...

Po Żeleńskim w roku 1921 dyrektorem Konserwatorium został Wiktor Barabasz, który kierował tą placówką do roku 1928. W latach 1928—33 dyrektorem był Julian Michał Piotrowski, w roku szkolnym 1938/39 Bolesław Walek-Walewski.

W ciągu 50 lat działalności dydaktycznej Konserwatorium wydało 256 dyplomów — w tym 152 z fortepianu, 38 z organów, 21 ze skrzypiec, 14 ze śpiewu solowego.

Po wojnie Konserwatorium Krakowskie rozpoczęło swą działalność już 1 kwietnia 1945 roku. Od 31 sierpnia tegoż roku, w budynku przy ul. Baszowej 8/9, działa ono jako państwowa uczelnia — Państwowe Konserwatorium Krakowskie. 1 kwietnia 1946 roku Konserwatorium zostało przekształcone w Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną z instytucją senatu, radami wydziałowymi oraz 4-wydziałową strukturą.

Wśród rektorów roli się od znakomitych nazwisk: byli nimi kolejno pianista Zbigniew Drzewiecki (1945—1952), muzykolog i historyk muzyki Stefania Łobaczewska (1952—1955), organista i pedagog Bronisław Rutkowski (1955—1964), wielka skrzypkarka Eugenia Umińska (1964—1966) pianista o szerokiej sławie Jan Hoffman (1966—1969), organista i pedagog Józef Chwedeńczuk (1969—1972), wreszcie Krzysztof Penderecki (1972—1987), który przy swoich zajęciach twórczych zaznaczył się w dziejach szkoły opieką nad talentami kompozytorskimi, a i organizacją poważnych imprez muzycznych. Od 1 sierpnia 1948 r. PWM znalazła swą siedzibę przy ul. Warszawskiej 24 w trzy lata później przeniosła się do pomieszczeń w budynku dawnej szkoły średniej siostr Urszulek przy ul. Bohaterów Stalingradu 3. Przez długie lata związani byli z tą szkołą wspomniani tu w

(CIĄG DALSZY NA STR. 3)



Polityka a bilety wstępu

We wczorajszej debacie republikańskiej wystąpił publicznie jedynie Jack Kemp i George Bush. Pat Robertson i Bob Dole odmówili w niej udziału, twierdząc, że bilety wstępu zostały rozprowadzone wyłącznie wśród zwolenników wiceprezydenta Busha.

Śmierć gazety

Dziś o 2 w nocy miało ukazać się prawdopodobnie ostatnie wydanie gazety „New” (DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Red. Andrzej Stanowski
telefonuje z Calgary

Wygrałem zakład z Lejczykiem!

Wygrałem zakład z trenerem Leszkiem Lejczykiem! Po meczu ze Szwedami w obecności całej grupy polskich dziennikarzy przyjąłem zakład, iż wygramy pojedynek z Francuzami różnicą co najmniej trzech golów. Doceniłem postępy, jakie ostatnio poczynili

Francuzi trenowani przez szwedzkiego trenera i mający w swoich szeregach kilku zawodników kanadyjskiego pochodzenia, ale po dotychczasowych występach w Calgary zdecydowanie wyżej, nie tylko

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Sensacyjne zwycięstwo M. Kiehl (RFN) w zjeździe M. Diewiatjarow (ZSRR) najszybszy na 15 km

USA

Członek Izby Reprezentantów usunięty z Kongresu?

NOWY JORK (PAP). Komisja ds. Etyki Izby Reprezentantów Kongresu USA zaleciła pozbawienie mandatu dem-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Krakowsko-polsko-francuska wersja „Biesów”

(Z Berlina Zachodniego specjalnie dla „Gazety Krakowskiej”)

Po pierwszej połowie XXXVIII Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Berlinie Zachodnim nie jest jeszcze możliwe określenie tego, co w br. będzie dominować — jeśli będzie — w światowej kinematografii. Wydaje się, że zgodnie z prawem każde-

go festiwalu ważniejsza będzie druga połowa. Z przedstawionych dotychczas w konkursie filmów uwagę zwróciły dwie produkcje amerykańskie „Walker” Alexa Coxa przewrotnie zrealizowana, rozpoczynająca się jak smirna, oparta na

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Polscy „turyści” w Szwecji

Policja w Malmö uznała się za całkowicie bezradną w obliczu zmasowanego handlu

SZTOKHOLM (PAP). Polacy są dużym problemem dla policji. Nasze wnioski prowadzą donikąd. Jest to sprawa, która można rozwiązać tylko na drodze dyplomatycznej — stwierdził szef policji w Malmö Gustav Andersson po drodze inspekcji w parku Pil-

damm, który stanowi nowy rynek sortadziw towarów przywożonych do Malmö przez

tw. jednolitościowych turystów z Polski. Miejscowe dzienniki „Arbete” i „Sydsvenska Dagbladet” opublikowały 18 bm. całostroniowe reportaże z dziećmi przedstawiającymi akcje policji wobec polskich „turystów”.

Policja — jak pisał gazety — chwytła masowo handlujących Polaków, których przy-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

redaktor dyżurny
przy telefonie 22-09-85

Dziś, w sobotę, oczekuje na Wasze telefonowanie od godz. 10 do 14 red. Jacek BALCEWICZ z Działu Polityczno-Ekonomicznego.

W niedzielę przy redakcyjnym telefonie dyżuruje także od godz. 10 do 14 red. Wojciech MACHNICKI — kierownik Działu Informacji.



Fot. W. Klag

„Ożenek” Mikołaja GOGOLA na scenie Teatru im. J. Słowackiego. Najświetniejsza — obok „Rewizora” — i najbardziej znana komedia Gogola.

Premiera w najbliższą sobotę — 20 lutego br. Spektakl w reżyserii Włodzimierza KACZKOWSKIEGO, ze scenografią Aleksandry SELL-WALTER i muzyką Bolesława RAW-SKIEGO. W roli Podkolesina Marian CEBULSKI.

(5)

STULECIE AKADEMII MUZYCZNEJ W KRAKOWIE

Spośród wielkich twórców narodowej kultury tylko nieliczni byli tak silnie związani z Krakowem jak Władysław Żeleński. Urodzony 6 lipca 1837 r. w podkrakowskich Grodkowicach na skraju Niepołomickiej Puszczy, już w 1846 r. po wypadkach rzezi galicyjskiej, w których zginął jego ojciec, Marcin, zamieszkał w Krakowie (przy ul. Mikołajskiej), z którego parokrotnie później wyjeżdżał lecz do którego zawsze powracał, by w końcu osiąść na stałe.

Tu, w Krakowie zdobywał pierwszą wiedzę muzyczną u pianisty Jana Giermasza i organisty Franciszka Mireckiego, tu, jeszcze jako uczeń Gimnazjum Św. Anny (Kolegium Nowodworskiego) skomponował pierwsze swe utwory — dwa kwartety smyczkowe, trio na fortepian, skrzypce i wiolonczelę oraz uwerturę — którą sam w sali bursy muzycznej dyrygował. Tu na koniec rozpoczął studia filo-

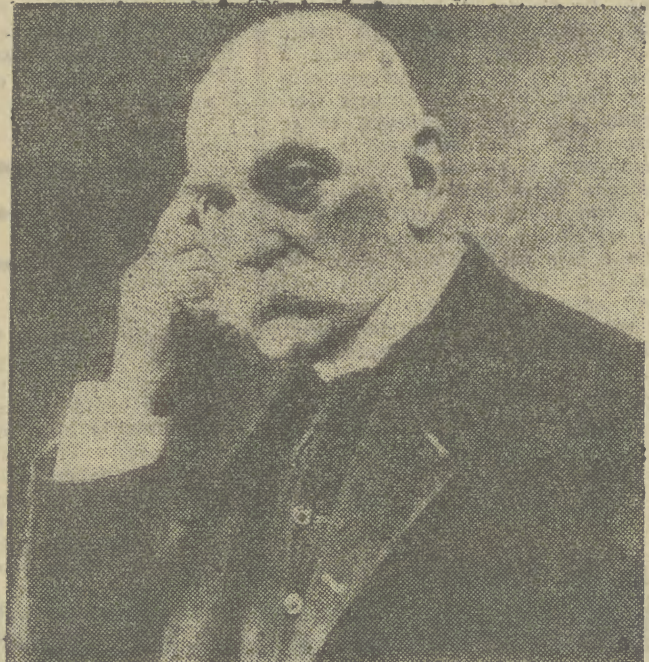
zyczne. Często jednak przyjeżdżał do Krakowa z koncertami kompozytorskimi. Po jednym z nich krakowski „Czas” (20 XII 1878 r.) napisał: *„Jest coś rozrzucającego w tym popisie artysty, który opuścił wielkie miasto, w którym się osiedlił, aby miastu rodzinnemu co parę lat przedstawiać owoce swoich ustawań, kwiataj swego talentu.”*

Ciągnęło serce wilka do lasu. Coraz częściej myśli jego kierowały się ku Krakowowi jako swojej właściwej przystani życiowej, w której spodziewał się znaleźć najbardziej odpowiadające sobie warunki dla twórczej pracy i działalności pedagogicznej — pisał Zdzisław Jachimiecki. Czy je znalazł, gdy w lipcu 1881 r. powrócił do „miasta rodzinnego”, choć ściślej — miasta swego dzieciństwa i młodości?

W Krakowie zastał stosunki muzyczne niewiele różniące się od tych, w jakich przed przeszło dwudziestoma laty debiutował tu jako kompozytor. Obeszany ze szkołami mu-

zyczne jeszcze co prawda z Towarzystwem Muzycznym, które jako jedyną posiadało koncesję na prowadzenie szkoły muzycznej, ale odtąd już innej, wyższej niż dotychczasowa szkoła rangi Dyrektora Żeleńskiego wykładali w nim teorii muzyki, a na małych, kiepskich organach uczył sztuki organowej.

Niezbýt liczne było zrazu grono nauczycieli, szczupły był również zakres przedmiotów. Uczono głównie gry na



WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI

fortepianie, znacznie mniej liczna była klasa skrzypiec, jeszcze mniej liczna wiolonczel. Nie było też natłoku na wokalistyce, zupełnie brakowało klas instrumentów dętych. Ale Żeleński, wielkich sił żywotnych i żelaznego zdrowia, był człowiekiem — instytucją. Z biegiem czasu grupował wokół siebie coraz lepszych pedagogów. Zwiększał się zastęp uczniów, rezultaty były coraz widoczniejsze.

Należał do pedagogów surowych i wymagających. Porzucił z natury, był niekiedy postrachem swych słuchaczy i wychowanków. W trwającej niemal pół wieku działalności pedagogicznej dochował się przecież wybitnych uczniów, głównie z zakresu teorii muzyki i kompozycji, takich jak: Zygmunt Stojowski, Roman Stańkowski, Henryk Opieński, Felician Szopski, Stanisław Lipski, Bolesław

Wallek-Walewski; najliczniejszy jednak zastęp stanowił organisci.

Bujnie widół również Żeleński życie intelektualno-towarzystwa. Przyjaźnił się z najwybitniejszymi ludźmi epoki — Janem Matejką, Arturem Grottgerem, Stanisławem Tarnowskim, Oskarem Kolbergiem, Stanisławem Tomkowiczem, Włodzimierzem i Kazimierzem Tetmajerami. Jego „zebrania niedzielne”, wytworne towarzysko, gromadziły najwybitniejsze osobistości polskiego świata naukowego i artystycznego. Byszczał dowcip i kultura, rozbrzmiewała kameralna muzyka. Profesorowie Konserwatorium grali na instrumentach smyczkowych, natomiast fortepian był domową uczennicą bądź samego dyrektora, który „lubił grać i robił to z wielkim zapalem”. Wykonywano najczęściej kwartety, tria i pieśni Żeleńskiego, nado najwybitniejsze utwory romantyków, a także Beethovena, którego muzykę Żeleński kochał i bardzo cenil.

W tej atmosferze kultu dla sztuki i intelektu wychowywali się dwaj jego synowie: Stanisław, który poległ podczas I wojny światowej i Tadeusz, późniejszy Boy-Żeleński.

Władysław Żeleński był postacią soczystą i barwną. Widywano go (...) na ulicach Krakowa, zawsze zagłębionego w myślach, zawsze snującego jakby jakieś melodie, które wyrwały mu się z ust w formie dość głośnego mruczenia lub naśladowania trąbek; niekiedy nagle ruchy rąk (częstokroć i łaski) wskazywały, że w tej idealnie tworzonej instrumentacji symfonii czy uwertury dochodziły do głosu kotły...

Komponował do ostatnich niemal chwil życia. Jeszcze na kilkanaście godzin przed śmiercią napisał marsz dla wojska polskiego — żołnierzy odrodzonej ojczyzny. Zmarł 23 stycznia 1921 roku; spoczął na cmentarzu Rakowickim.

Spośród wszechstronnej działalności muzycznej Władysława Żeleńskiego — kompozytora, pedagoga, organizatora, organisty, pianisty, na koniec krytyka — na plan pierwszy wybija się najczęściej twórczość kompozytorska, stanowiąca bez wątpienia cenny wkład w polską kulturę muzyczną drugiej połowy XIX wieku. W trwającym bowiem pół stulecia okresie twórczym napisał ponad sto pieśni, liczne kompozycje kameralne i fortepianowe, kantaty okolicznościowe, świeckie i kościelne kompozycje chóralne, ilustracje do sztuk teatralnych i — co było szczytem jego ambicji twórczych — cztery opery: *Konrad Wallenrod*, *Gopłana Janek*, *Stara baśń* — wszystkie oparte na motywach polskiej literatury, choć pozostał w epoce, na której wyrósł i którą współtworzył: „cecił i rozumiał głęboko klasyczny, wielbił i kochał romantyków i istotą swego talentu do nich się zaliczał”.

Ale z perspektywy czasu, jaki upłynął od powrotu Żeleńskiego do Krakowa w 1881 roku, najcenniejsza w jego pełnym zasług życiorysie wydaje się właśnie działalność organizatorsko-pedagogiczna, której pokłosiem jest żywa do dziś tradycja muzycznego kształcenia.

ALEKSANDER SZYMANEK

KONSERWATORIUM ŻELEŃSKIEGO

zoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim; ukończył je wien-cząc tytułem doktora na Uniwersytecie Karola w Pradze, gdzie kontynuował studia pianistyczne u Aleksandra Dreyschocka oraz organowe u Józefa Krejczygo. Ani kilkumiesięczny pobyt w Wiedniu, ani dwuletni pobyt w Paryżu, poświęcony studium kompozycji, nie osłabiły w nim wewnętrznej potrzeby bycia w kraju, a zwłaszcza w Krakowie. Marzeniem moim od najmłodszych lat było nie szukać wazeryzmu na obczyźnie, ale w swojej ojczyźnie poruszyć serca, przyoblekając pieśń swoją rodzimą w szaty najjucowniejsze tak co do formy, jak i nastroju — pisał w „Moich Pamiętnikach”.

A przecież „wawrzynów na obczyźnie” nie był pozbawiony. Konkerty kompozytorskie Żeleńskiego w Pradze i Paryżu zyskiwały mu powszechny aplauz tak słuchaczy, jak i tamtejszych krytyków, o czym informowała społeczeństwo polskie prasa krajowa, budząc zrozumiałe zainteresowanie ówczesnych sfer muzycznych, szczególnie zaś Krakowa, jego sukcesami — pisał dowodnie Tadeusz Przybylski.

Wierny swemu najgłębszemu patriotyzmowi wraca Żeleński z początkiem 1871 r. do Krakowa, gdzie już trzydziestego stycznia daje koncert kompozytorski złożony z pieśni, utworów fortepianowych i kameralnych oraz uwertury orkiestrowej w *Tatrach*, ukończonej w Paryżu. Dochód z tego koncertu przeznaczono zgodnie z życzeniem autora na odnowienie Sukiennic.

W październiku 1871 r. za namową swego przyjaciela Aleksandra Zarzyckiego, podówczas dyrektora Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, przeniósł się Żeleński do Warszawy, gdzie został profesorem harmonii w Instytucie Muzycznym, a później także dyrektorem artystycznym Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, które ożywił i roz-

zyczynymi i konserwatoriami Pragi, Wiednia, Paryża (...) z przerwaniem stwierdzał brak w polskich Atenach dobrze zorganizowanego ośrodka pedagogicznego, stojącego przynajmniej na średnim poziomie. Nie zrażony tym (...) stanął do pracy w istniejącej szkole — raczej szkółce — muzycznej i zaczął udzielać lekcji teorii muzyki.

Nade wszystko rozpoczął jednak starania — ba! — wieloletnią batalię o powołanie w Krakowie konserwatorium. Miał sojusznika w ówczesnym prezydencie miasta Floriana Zybkiewiczu. Mimo to sprawa szła jak po grudzie, bo w starej stolicy nad Wisłą i Rudawą (...) istniało mnóstwo koterii i koteryjek (...) roflo się od ludzi o najbardziej fałszywych aspiracjach i chorobliwych ambicjach i ambicjach organizowania i działania za wszelką cenę pod hasłem: dokuczyć innym, którzy już coś robią. Lecz tych Żeleński przerastał — nie tylko jako artysta, ale i powszechnie już uznany autorytet — najmniej o głowę. Nadto — jak pisał w 1882 r. St. Tomkowicz — Żeleński „jako człowiek prywatny stał poza stronnictwami, a jako muzyk — ponad stronnictwami”. Nie bez znaczenia był również nimb sławy, jakim jego głowę otaczała Warszawa.

Wieńc wreszcie, 1 lutego 1888 r., „w starej ruderze przy placu Szczepańskim (tam, gdzie dzisiaj mieści się „Orbis” — A. S.) w kilku nie nadających się do tego pokoiach, obok których istniała także mała sala na popisy uczniów i dorywczo urządzane koncerty” powstało wreszcie wymarzone i upragnione przez Żeleńskiego Konserwatorium.

A sama inauguracja? W małej salce szkoły muzycznej — wspomina Felician Szopski — przy niezbyt liczny udział publiczności odbyło się to otwarcie. Tylko gorące słowa Żeleńskiego, pełne dobrych nadziei, mówiące o ważności sprawy, podniosły nastrój chwili. Ale tak czy owak powstało! Kraków miał już swe własne Konserwatorium, zwa-

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

Muzyka wobec literatury, wzięcie — wobec poezji, dramatu, tańca, wobec zadań wykonawczych, interpretacyjnych. To krakowska Akademia zgromadziła w Baranowie ludzi tej miary co: Jarosław Iwaszkiewicz, Anna Kamińska, Stefan Jarociński, Zofia Lissa, Tadeusz Baird, Lech Kalinowski, Jan Błoński, Witold Lutosławski i wielu innych. Docent dr

twórczych i organizacyjnych. Za dwa lata ma być oddany do użytku gmach dawnej „Floranki” przy ul. Basztowej, gdzie obok auli na pięterku zorganizujemy muzeum A.M. Musimy wejść ostro w remont pałacu Pugetów. Powstanie w najbliższym czasie katedra wykonawstwa muzyki współczesnej. Będziemy kontynuować współpracę z wyższą uczelnią muzyczną Lipska, Norymbergi, Helsinek i Grazu. Za dwa lata zorga-

Krakowa Janusza Jakubowskiego wspomagana, ułatwia rozwiązanie problemów materialnych, funduje standard dla Akademii. Chciałabym, by zainwestowany w naszą młodzież kapitał był wielokrotnie zwrócony społeczeństwu i kulturze polskiej, byśmy nasze społeczeństwo umieli przekonać o wadze dobrej, wartościowej muzyki i sztuki, by piękno zawarte w dziełach kompozytorów, a przekazane przez arty-

ZAWSZE LEPIEJ

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

tuozii i kompozytorzy oraz Ada Sari, Józef Mikulski, Henryk Sztopka, Andrzej Panufnik, Jan Maklakiewicz, Stanisław Wiechowicz, Maria Dzielulska, Adam Rieger, Aleksander Frackiewicz. Za rektoratu Zbigniewa Drzewieckiego powstała Sekcja Operowa kierowana w ramach Wydziału Wokalnego przez Włodzimierza Kaczmarę. W roku 1957 powstało 7 katedr — teorii, kompozycji, dyrygentury, fortepianu i kameralistki organów instrumentów smyczkowych fortepianu, w roku akademickim 1961/62 powstały trzy dalsze katedry — kształcenia słuchu, wiolonczeli, problematyki wychowania muzycznego. W 1962 roku powstał Zakład Akustyki Muzycznej. W 1966 roku utworzono 3-letnie Studium Edytorstwa Muzycznego, w rok później Katedrę Edytorstwa Muzycznego, kierowaną przez doc. dr. Mieczysława Tomaszewskiego.

Wiele zrobiono także dla kształcenia kadry pedagogów. Za rektoratu Krzysztofa Pendereckiego na Wydziale Instrumentalnym powstała Sekcja Pedagogiki Instrumentalnej kształcąca w systemie 4-letnich studiów nauczycieli-instrumentalistów. Przy Wydziale Wychowania Muzycznego działa od roku akademickiego

1959/60 wieczorowa sekcja, kształcąca czynnych pedagogów muzycznych i działaczy ruchu muzycznego całego kraju. Punkt Konsultacyjny Pedagogiki Instrumentalnej Krakowskiej AM w Rzeszowie, sprawowany przez Akademię opieki merytorycznej nad Katedrą Wychowania Muzycznego WSP w Rzeszowie, to dowód rozwijającej się ciągle myśli pedagogicznej. W wywiadzie z obecną rektorką Akademii Muzycznej w Krakowie Krystyną Moszumańską-Nazar odnotowane są również plany i niektóre osiągnięcia tej zasłużonej placówki. Warto też zaznaczyć, że od roku szkolnego 1979/1980 Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Krakowie nosi nazwę Akademii Muzycznej. Liczne grono studentów — laureatów konkursów międzynarodowych i krajowych, koncerty orkiestry i chóru A.Muz., to kolejne dowody aktywności artystów-pedagogów i ich wychowanków.

Miasto nasze już w XI wieku w szkole katedralnej na Wawelu znalazło siedzibę kantorów nauczających młodzież śpiewu liturgicznego. W XIII wieku szkoły parafialne uczyły melodii gregoriańskich. Po powstaniu Uniwersytetu uczono na nim teorii muzyki, praktykę pozostawiając szkołom przykościelnym. Dwór Jagielloński w Krakowie grupował wokół siebie co znaniejszych kompozytorów, działał również cech muzyków, który znajdował się pod opieką królewską już od czasów Kazimierza Wielkiego. Bursa muzyczna Jezuitów w latach 1638—1773 prowadziła świetną kapelę, wykształcała wielu znakomitych instrumentalistów a nawet i kompozytorów. Czynna była bursa muzyczna przy kościele św. Anny (od 1764), szkoła muzyczna Józefa Zygmuntowskiego (1773—1781) zaś w latach 1781—1787 — szkoła muzyczna przy ul. Grodzkiej, którą założył ksiądz Wacław Sierakowski. Powstałe w roku 1817 Towarzystwo Przyjaciół Muzyki opiekowało się organizacją koncertów i wspomniała już bursa muzyczna. W 1841 roku kompozytor, pedagog dyrygent i śpiewak w jednej osobie Francisek Mirecki założył pierwszą publiczną państwową szkołę muzyczną, która działała w ramach Instytutu Technicznego aż do roku 1873. Także Towarzystwo Muzyczne Krakowskie „Muza” powstała w 1866 roku i w 10 lat później przekształcone w Towarzystwo Muzyczne w Krakowie zorganizowało własną szkołę muzyczną przekształconą potem w Konserwatorium, którego spadkobierczynią stała się dzisiejsza Jubilatka.

Oprac.: ARKADIUSZ BASZTON
OLGIERD JĘDRZEJCZYK

TWORZYĆ

Mieczysław Tomaszewski, kierownik Katedry Edytorstwa Muzycznego i dyrektor Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w jednej osobie, zbudował autorytet tej imprezy absolutnie przekraczającej wszystkie dotychczasowe. Osiągnięciem naszej szkoły był organizowany przez 5 lat w Stalowej Wolii festiwal „Młodzi muzycy młodego miastu”. Tam to dla potrzeb młodych robotników wielkich zakładów pracy prowadziliśmy konkretne zajęcia, również informacyjne, również o charakterze wykładu, nauczania z zakresu muzyki elektronicznej, literatury muzycznej. Młody asystent Krzysztof Droba nadał temu przedsięwzięciu szeroki rozmach i okazało się, że jest to forma trafiająca do przekonania młodych robotników. Z inspiracji prof. Elżbiety Stefańskiej organizowaliśmy Ogólnopolski Konkurs Klawesynowy im. Wandy Landowskiej. Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny Fundacji Stendal, znaczny jest udział naszych artystów-pedagogów w „Dniach Muzyki Organowej” w których kierownikiem artystycznym jest prof. Jan Jargoń z naszej AM. To nasza Akademia w osobie profesor Heleny Łazarskiej zorganizowała Dni Sztuki Wokalnej im. Ady Sari w Nowym Sączu.

— Rzeczywiście, jest to wszystko niemały dorobek. Kolej na pytanie dotyczące planów uczelni, która kieruje Jej Magnificencja.

— Jest rzeczą oczywistą, że obecny rektorat musi być, przy moim własnym widzeniu tych spraw, kontynuacją wielu zamierzeń naszych poprzedników. Po raz pierwszy w dziejach wydajmy folder. Wydawnictwo to ma również znaczenie informacyjno-naukowe, skoro przedstawimy tam strukturę Akademii, nauczania, organizację zespołów itd. W tym roku w Polskim Wydawnictwie Muzycznym na zamówienie i pod egidą Akademii Muzycznej, ukaze się praca dr. Tadeusza Przybylskiego „Nauczanie muzyki w Krakowie od Średniowiecza do XX wieku”. Chemy zorganizować porządne archiwum uczelni, z dokumentacją osiągnięć w nauczaniu, działań



KRYSTYNA MOSZUMAŃSKA-NAZAR
(Fot. Jacek Wcisło)

nizujemy przy współudziale Międzynarodowej Akademii Bachowskiej pod dyktando prof. Helmuta Rillinga ze Stuttgartu seminarium poświęcone wykonaniu Mszy h-moll Jana Sebastiana Bacha. Myślimy o reaktywowaniu międzynarodowych obozów studenckich kół naukowych, poświęconych kwestiom kompozytorskim, dyrygentury, teorii muzyki.

— Co chce Pani przekazać społeczeństwu w związku z rozpoczynającym się uroczystościom jubileuszowymi 100-lecia Akademii Muzycznej w Krakowie?

— Chemy zwrócić społeczeństwu to, co od społeczeństwa otrzymaliśmy — ta formuła oznacza usilną pracę nad kształtowaniem charakteru i talentów naszych studentów, którzy muszą służyć narodowej kulturze, sztuce, Rada społeczna pod przewodnictwem wiceprezydenta miasta

I UCZYĆ

stów, było potrzebą codzienną, byśmy potrafili uczyć najszersze kręgi słuchaczy umiowania sztuki, wyboru między pięknem a błędnym. Warunkiem takiego odczuwania, takiego postępowania jest według słów Żeleńskiego oświata muzyczna.

— Dziękując Jej Magnificencji za rozmowę, składam życzenia osiągnięć twórczych i pedagogicznych szlachetnej Akademii, tak dobrze zasłużonej dla polskiej kultury.

Rozmawiał:

OLGIERD JĘDRZEJCZYK

DLA UCZCZENIA

100-lecia Akademii Muzycznej w Krakowie

21 lutego 1988 roku o godz. 12.00 na cmentarzu Rakowickim w Krakowie zostaną złożone kwiaty na grobach zmarłych rektorów.

21 lutego o godz. 19.30 w sali Filharmonii Krakowskiej wystąpi orkiestra Akademii Muzycznej pod dyktando Ewy Michnik z udziałem Kai Dancozkiej (skrzypce). W programie: Fantazja symfoniczna „Tatry” Władysława Żeleńskiego i I Koncert Skrzypcowy Karola Szymanowskiego.

23 lutego 1988 r. o godz. 19.30 orkiestra i chór PR i TV w Krakowie pod dyktando Krzysztofa Missony, z udziałem Reginy Smendzińskiej (fortepian) i Tomasza Nowaka (organ) wykonają Taniec weselny „Chmiele” na orkiestrę symfoniczną Stanisława Wiechowicza, Etyudy symfoniczne Artura Malawskiego, I Koncert organowy Tadeusza Machla, Rapsod Krystyny Moszumańskiej-Nazar.

25 lutego 1988 r. o godz. 19.30 w Galerii Muzeum Narodowego w Sukiennicach wystąpi Capella Cracoviensis pod dyktando Stanisława Gatońskiego z udziałem solistów: Barbary Świątek-Zelaznej (flet), Kazimierza Moszyńskiego (flet), Mieczysława Szełera (skrzypce), Iwona Monighettiego (wiolonczela). W programie utwory Zbigniewa Bujarskiego, Romana Palestra, Krzysztofa Meyera.

26 lutego 1988 r. o godz. 19.30 w sali Filharmonii Krakowskiej wystąpi pod dyktando Jerzego Katlewicza orkiestra tejże filharmonii z udziałem solistów Lidii Biel (fortepian) i Stefana Kamasy (altówka). W programie utwory Artura Malawskiego, Bogustawa Schaeffera, Krzysztofa Pendereckiego, Marka Stachowskiego.

Imprezy muzyczne dla uczczenia 100-lecia AM w Krakowie kontynuowane będą w marcu, kwietniu, maju, czerwcu, październiku i listopadzie. (J)

Dokładnie rok temu ogłosiliśmy VIII Ogólnopolski Konkurs o Nagrodę im. Adama Polewki. Patron konkursu był w przeszłości związany z naszą redakcją. Drukował na łamach „Gazety Krakowskiej” znane z bezkompromisowości cotygodniowe felietony, zebrane później i wydane w książce „Kocham i nienawidzę”.

Ubiegłoroczny konkurs nosił hasło „POZA SCHEMATAMI”. Jako organizatorzy oczekiwaliśmy opisu sytuacji życiowych i bohaterów nie poddających się ocenie, zamkniętej w przymiotniku: schematyczne.

W powodzenie Nerołów — młodego małżeństwa, absolwentów ogrodnictwa, którzy kilkanaście lat temu osiedlili się w Bieszcza-dach — nie wierzył nikt z miejscowych. Dlaczego nie na to zdecydowali? Chcieli być niezależni... Uparli się i ten upór pomógł im wrosnąć w Bieszczady.

Przez piętnaście lat zmieniło się dużo. Ubiegły rok był najlepszy. Mogli już kupić łódki i pralkę. W domu założyli centralne. Przystanek autobusowy za płotem im postawili, no i najważniejsze: Bartek — średni z potomstwa Nerołów — przestał zadawać głupie pytania. Wyrósł, przeżył. O siódmej dziesiątej wyjeżdża do szkoły — do siódmej klasy — i wraca przed trzecią. Strasznie jest z tego dumny. Mówi, że wszystko normalnie, tak jak w robocie.

„Mamo, a gdzie wy tu park macie?” — „Tu wszędzie jest park, głuptasie. Nie martw się syneczku”. Tak mu odpowiadała. Ile w tych

słowach sprzed laty było zmartwienia, a ile woli przetrwania w guszy, w oddalonej od dróg bieszczadzkiej wsi Paszowa? Trudno powiedzieć. Dziś Jadwiga Neroj nie wie tego sama.

Pamięta swoje pierwsze wrażenia. Gdy po raz pierwszy Marek przyprowadził ją na swoje — kiedy pokazał porośnięte krzakami i lasem osiemnaście hektarów, gdzie nie było nawet psiej budy, nie mówiąc o domu — nie wleźła, co mu powiedzieć. Padało wtedy okropnie. Od autobusu kilka kilometrów szli wśród przelewających się potoków. Drogi jeszcze nie było. Nie wiedziała, czy przynają, że boi się

wcześniej decyzji, tego miejsca, przyszłości. Powiedziała: „Ależ tu ładnie”. Pokazywała charakterystyczne bieszczadzkie rośliny, których nazw nie tak dawno uczyli się razem na Wydziale Ogrodnictwa lubelskiej Wyższej Szkoły Rolniczej. Skończyła sadownictwo, ale kwiaty zawsze najbardziej ją interesowały.

Wtedy w drodze, wśród deszczu przypomniała sobie dokładnie, co odpowiedziała Markowi, gdy jeszcze w Lublinie przyniósł ulotki o osadnictwie w Bieszczadach. Brzmiało to tak: „Tyko nierób lub dureń nie da tam sobie rady”. Pierwszego dnia w tych okolicach nie była już tak tego pewna.

Po latach widział inaczej. Teraz Marek ma 40 lat, żona 38. Dojrzalsi są specyficznie „dojrzałością do ziemi”, do jej wymagań. Mądrzejsi mądrością, która wyrósła z bieszczadzkiej pół. Bogate o to, co już za nimi.

Oboje pochodzą z miasta. Ona z Tarnowa, on z Terespoła. Studia ogrodnicze w Lublinie, a potem rok stażu w gospodarstwie ogrodniczym w Mysiadle. Nie było tam źle. W każdym razie, nie na początku. Mieszkanie wynajmowali u najprawdziwszej hrabiny, a w pracy byli

KRZYSZTOF
SPYCHALSKI

BIESZCZADZKI WĘGRZYN

faworyzowani. Niekiedy szefowie lubią zainwestować w młodych po studiach. W Nerojów inwestowała ówczesna dyrektorka Mysiadła Helena Wilczyńska. Jadwiga dostała dobrą pracę w szklarni. Marek został asystentem szefowej. Nic nie było na kredyt. Starzy brzygdziści z zakładu szybko sprawdzili, co Nerojom w głowach pozostało po studiach. Sprawdzili też, jak potrafią robić rekami. Nie na darmo przecież, początkowo, przypało Jadwidze gnój wózki taczkami. U starych zdobyli uznanie. Młodzi pracownicy Mysiadła zaczęli Nerojom zazdrościć. Wtedy właśnie przyszło Jadwidze do głowy, że nie bardzo pasuje do tego układu.

Znudzili im się rola młodych naprawiać rzeczywistości. Odeszli zaraz po tym, jak do zakładu przyjechał minister i przed tą wizytą robotnicy pocięli zgrabnie ze szklarni potężne pomidory, żeby gość z Warszawy znar-

Konkurs o Nagrodę im. ADAMA POLEWKI

nowanych krzaków nie widział. Marek pomyślał, że gdzie jak gdzie, ale w Mysiadle w trzy lata pięciolatki nie robi.

Wtedy wyrzeka czasem: „Co, młody gówniarz, wiedziałem o życiu. Może dziś byłbym dyrektorem?” Uzupelnia jednak zaraz, że równie dobrze paść mogłby na zawal. Wszystko dlatego, że dziwny jest Neroj. Prawdy we wszystkim lubi się doszukiwać, na fuzerze w robocie nie

umie i się zgodzić. Kiedy coś spaprze, szarpie się wewnętrznie, jakoś tak gryzie.

Z Mysiadła w 1972 roku przenieśli się do Tarnowa, do rodziców Jadwigi. Bieszczadów żadne wcześniej nawet nie widział. Ziemię w Paszowie kupił jesienną siedemdziesiątą drugiego. Własnych pieniędzy mieli dziesięć tysięcy. O kredyt było ciężko. W banku mówili, że zna ją takich naciągaczy, którzy forszę wezmą, przejdą i znikną — nawet dług trudno od nich wydobyć. W końcu ktoś zdecydował, że jeśli jakiś inżynier zwróciwał i koniecznie chce w Bieszczady, to niech idzie. Dostali czekową książeczkę — 300 tys. zł na 40 lat. Za 18 hektarów zapłacił 13,5 tys. zł, gotówką — tysiąc trzy-sta. Reszta rozłożona została na raty. To były warunki dla osadników.

Od krzaków i lasu wolne były 2 hektary —

puste miejsce na przyszłą zagrodę. Zaraz to zaorali i wrócili do Tarnowa.

Kiedy w okolicznych urzędach doszło „gdzie trzeba”, że Neroj jest inżynierem, zaproponowano mu pracę w Powiatowym Radzie Narodowej w Lesku. Jeśli nie zacznieś z nas pracować, po roku zginiesz na swoich górkach — to usłyszał na dobry, bieszczadzki początek. Nie była to głupia rada, choć czuł całkiem wyraźnie, że powiatowi specje od rolnictwa czekają tylko, kiedy się poknie. Bali się że ze stółków ich powygrza. W powiecie był przecież jedynym po studiach. Nie rolniczych wprawdzie, tylko ogrodniczych, ale zawsze... Tylko, że on nie przyjechał w Bieszczady robić administracyjnej kariery. Postanowił być gospodarzem.

W Lesku zaczął pracować latem 1973 roku. Teraz mogli się przenieść do siebie, z Tarnowa do Paszowej, przywieźli 50 zbitych przez Marka uli — marzył o doktoracie z pszczelarstwa — i „pracownie pszczelarską” — szopę z deską o powierzchni 6 metrów kwadratowych. To był ich pierwszy własny „dom”. Wszystko tam mieli własne: ugor, szopę, starą wylęgarnię, Doczek i kundla Renka. Numer domu też sami wymyślili. Postanowili, że szopą będzie miała numer 1 A.

Stamtąd późną jesienią Jadwiga pojechała do szpitala do Leska — rodził się pierwszy syn Bożydar. Teraz dla bliższych zwyczajnie Pipek. Do szopy z dzieckiem na zimę nie było po co wracać. Po wyjściu z kliniki Jadwiga z synem przez jakiś czas mieszkała w Lesku u koleżanek. Marek zmienił właśnie pracę. Musiał zmienić. Właśnie dlatego, że tak cholernie chciał być

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

ZWIERZENIA ESTETYCZNE

W czasach legendarnych jeszcze, gdy obiad zwany klubowym kosztował trzy złote, a jedynym lokalem wystawowym Krakowa starała się zawiązać prawdziwa awangarda, artyści, a nawet normalni ludzie zrzeszali się z własnej woli w grupy i kluby.

Pęd ów był tak wielki i powszechny, że aż śpiewano ku ich czci pieśni, jak tę, podołożoną pod melodię popularnego podówczas „Blacksmith boogie”, czyli kowalskiego boogie woogie, której fragment pozwalał sobie przytoczyć: „Nas jest dwunastu i was jest dwunastu, więc założymy sobie klub filatelistów”. Ze nie ma rymu? Ależ przeciwnie, rym był, tyle, że również wtedy słowo „filatelista” brzmiało mniej kontrowersyjnie, choć o AIDS nikomu się nie śniło ani o grupach (znów te grupy!) wzmożonego ryzyka.

Było więc grup i klubów bez liku, w czym przyczyną powstania tej sytuacji przedwojennej, gdy działali ich w kraju do pięćdziesięciu jednocześnie. Coraz też powstawały nowe, na rok, na miesiąc, a czasem wyłącznie dla urzędnika wystawy, bo wiadomo, grupie było łatwiej dopchać się do jedynego, powtarzam, lokalu wystawowego, albo nawet zdobyć szturmem lokal nowy, jak to się udało grupie Marg, eksponującej w wielkiej sali przy Rynku Głównym 25

nazywano je niekiedy konwencjami i bez cienia złośliwości pisało „tworzyły konwencje kubistycznej, kolorystycznej, abstrakcyjnej itd” (do wyboru).

Ba, nawet wypadło być przypisanym do jakiegoś nurtu, bo na outsiderów spoglądano nieufnie i z niejakim politowaniem, jako na osobników, którzy nie zgłębił reguł żadnego z istniejących prądów i nie potrafili zrobić trudnej kubistycznej rzeźby ani namalować równie trudnego postimpresjonistycznego obrazu.

Dziś sztukę opanowali sami outsiderzy, sal wystawowych jest dość, a nawet jakby za wiele dla zachowania wysokiego poziomu wszystkich ekspozycji, więc grupy zmarły śmiercią naturalną z braku dobrych przyczyn ich powstawania.

I oto odzywają. Po świetnym, koedukacyjnym „Izanie” objawiła się w BWA nowa, tym razem czysto męska grupa malarzy. Całkiem sobie z pozoru różni, no bo co może na pierwszy rzut oka łączący czarno-białe kompozycje Giergi z rozbarwionymi obrazami Stryki, te ze świetnymi ekspresjami Kuskowskiego, te dla odmiany z metaforami Gena Małkowskiego, owo z kubizującym nadrealizmem Przybylskiego i z Dobkowskim w nowej, wyciszonej lecz i pogłębianej wersji i postkonceptualizmem Trelińskiego, bo i jego nie brakuje? Pozornie, powtarzam, nie.

A jednak jest aż parę czynników łączących wyżej wymienione dzieła i artystów tym samym. Po pierwsze więc emocja wyrażona różnymi środ-

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

prawdziwy. W Lesku był szefem referatu skupu w wydziale rolnictwa. Nie lubił pisać sprawozdań. Kiedyś sekretarz z powiatu zapytał, dlaczego do komitetu dostarcza tak niewyraźne relacje. Powiedział, że to pomyłka, że w ogóle sprawozdań tam nie wysyła, że woli pracować przy owcach, świnach i krowach, nie lubi siedzieć za biurkiem i pisać.

Wybronił go wtedy naczelnik powiatu. „Jednego inżyniera macie — powiada — i chcecie go spalić?” Za tydzień skierowano Marka do pracy w gminie, do położonej obok Paszowej Ropienki. Został jedynym w województwie rzeczowskim gminnym inspektorem od kół gospodyń wiejskich.

W Ropience wynajęli mieszkanie. O gospodarstwie nie zapomnieli. Czytali rolnicze książki. Odskłaniali pieniądże. Marek do Paszowej jeździł często. Zaczął od karczowania krzaków. Dla niego samego — „robotą głupiego”. Pomo-

przy nim, pogrzebał — jakieś kółko, pasek klinowy do maszyny podłączył i wreszcie zagrała. Pierwszy raz obsłużyła mekiki w niedzielę. Silnik charczał, dudnił i skomlał, a mieszkańcy Paszowej znów mieli powód do złośliwości. Tym razem, że Nerojowie w dzień święty... drzewo plutał Krowy jednak nie narzekali.

Nerojowie początkowo też byli zadowoleni. Jeśli „magister” więcej do mleczarni mleka odda niż chłop, to coś w tym jest. Za to „coś”, za tę satysfakcję zapłaciła Jadwiga. W osiemdziesiątym pierwszym trzy miesiące spędziła w szpitalu. Nacisnęła lekarz powiedział, że musi wybrać: zdrowie, albo krowy. Konwie z mlekiem okazały się dla niej zbyt ciężkie. Marek zajmował się głównie polem, a ona nie mogła już dźwigać. Kłarę sprzedali w lutym osiemdziesiątego szóstego. To była ostatnia krowa z Nerojowej obory.

Pierwsze owce też im nie wyszły. Hodowla polskich owców nie bardzo im się udawa. Zwierzęta trochę chorowały, a w skupie mówili, że

czym pastuchem. Marek tabliczki obok plotu postawił, żeby uważać, bo prad elektryczny, pulsujący w ogrodzeniu przepływa. Nie wszyscy we wsi w pisane wierzyli. Dwóch chłopów postanowiło sprawdzić. Jeden, dotknąwszy — trafił na przerwę w przepływie prądu, drugim — targano. Uwolniony od elektrycznego skurczu wymamrotał tylko: „Jili... toż tu nie ma”. Teraz w Paszowej kilka elektrycznych pastuchów bydła pilnuje. Podobnie chwycyli we wsi łazienki. Jakos dwa miesiące po których tam Bożym Narodzeniu, jeden z gospodarzy powiedział Markowi, że zaraz po świętach taką samą sobie postawił wygrodę. Neroj zapytał o wrażenia z pierwszej kąpieli. „E... Nie kapali się jeszcze. Przecież po świętach...” — odparł przepytany.

Chłopi są nieufni. Po swojemu na wszystko patrzą. Przeglądając się, zachodzą z lewa i z prawa. Jak się do czegoś przekonają — przyjmują jak swoje.

Przyjęli w końcu także Neroja. Musieli. Ku-

BIESZCZADZKI WĘGRZYN



Fot. Jacek Wcisło

gli koledzy z POM. Wspólnie wykarczowali 6 hektarów. Przyjacieli za 19 tys., na raty, sprzedał mu starego „gazika”. Był to drugi „wóz” w Ropience. Auto pamiętało czasy podboju Berlina. Strzelało, kaszało, ale jak poszło do przodu, to poszło. Trzy lata temu sprzedali je za 20 tysięcy, bo ciągnął paliwo, że strach. Dwadzieścia litrów na sto. Na początku w gospodarstwie się jednak przydał. Dobry był. Nerojowa bez niego na korbę go zapalała. Chłopi w Paszowej zaniemówili, kiedy Neroj „gazikiem” i pożyczonym od sąsiada Gamonia bromami w polu pracował.

Po trzech latach zgarnął z ziemi trochę pieniędzy. Można było już myśleć o domu z prawdziwego zdarzenia. W Nerojowej wciąż kwilił romantyzm. „Jak dom w Bieszczadach — mówiła — to tylko drewniany”. Sto sześćdziesiąt metrów sześciennych drewna kupili po 500 zł za metr — jak wszyscy osadnicy. Kłopot był tylko z ludźmi, którzy usługi ciesielskie proponowali. Kilka ekip po wzięciu zaliczki na zawsze przepadło w guszy. W końcu znaleźli, właściwie sam się zgłosił chłop z pobliskiej wsi. Postawił stołbę z owczarnią, ściany domu, komini, Dach Nerojowie sami kryli. Za robocizną majster wziął 30 tysięcy złotych. Zresztą, w rozliczeniu dostał teleodbiornik „beryl” i pralkę. Pieniądzy tylko trochę. Interes był niezły.

Najpierw — w 1976 roku — stanęła stołba z owczarnią. Młodzi gospodarze wprowadzili tam 70 owiec kupionych jeszcze na kredyt. We wrześniu następnego roku Marek z rodziną — miał już dwóch synów, Bartek urodził się w Ropience — wprowadził się do piwnicy budowanego domu. Gminę w Ropience właśnie likwidowano, stado owiec mocno się powiększyło — przyszedł czas, by stacjonarnie zająć się gospodarką. Podniósł nastroj zburzył nieco teściowie. Jesienią dzieci Nerojom zabrali, bo babci nie mogło się zmieścić w głowie, że wnuczka w piwnicy mieszkała. Przed Bożym Narodzeniem Marek zdążył wyszukać kuchnię i wszystkie wrócić do normy. Dzieci znów były w domu. Wtedy, po raz pierwszy od momentu kupna ziemi, zaczęło się dla Nerojów normalne życie.

Robić trzeba było w domu — budowa była jeszcze nie ukończona — i w polu. Siano do stołdy znosili rękami. Wieczorem, żeby sąsiedzi nie wyszysiali. Nie dorobili się przecież jeszcze żadnej maszyny. Wtedy tylko myśleć mogli nowocześnie. Poza tym — harowali. Czasem wieczorem sił brakowało, żeby się umyć. Pewnie dlatego największym marzeniem Jadwigi była łazienka. Postanowili że wodę do domu sprowadzą z pobliskiego potoku. Potok przepływał obok przyległej do gospodarstwa góry. Dom stoi niżej. Żadnej pompy nie było trzeba. Wykorzystali siłę ciężkości. Własnoręcznie wykonanym wodociągiem, możolinie łączonymi rurkami woda popłynęła do Nerojowej łazienki. Było już trochę lepiej.

Z krowami to był przypadek. Zaczeli od dwóch. Marek przywiózł je z Podlasia. Pojechał do ciotki po stare meble, a przywiózł krowy. Nad Bugiem było akurat po powodzi, bydła nie było czym karmić więc ciotka dała krowiny nie domagając się nawet zaliczki. Za jakiś czas należało spłacić ratami. Z nowego nabytku sąsiedzi wysmiewali się zdrowo: „Co to za chudyni Neroj ze świnią przytargał!” — mówili. Odkarmione chudyni w ciągu sześciu miesięcy dały 5-700 litrów mleka — ludzie zamilkli. Z pieniędzy za mleko osadnicy kupili następne trzy krowy.

O tym, że najpierw Jadwiga dołać ich nie umiała, że z wyjątkiem bała się rogów, wiedział tylko Marek. On jeden widział, jak po wieczornym dojeniu w zimnej wodzie moczyła zesztywniałe z bólu, niewprawne w takiej robocie dłonie. Kupiona przez Marka elektryczna dołarka była po prostu luksusem. Tyle, że prad do wsi podłączono dopiero latem osiemdziesiątego drugiego... Wcześniej coś trzeba było wymyślić. Kupili silnik benzynowy. Neroj podhubał

wielną mają jak drut. Ponad sto czterdzieści sztuk w stadzie wymagało roboty, ale pieniądze było z tego niewiele. Zresztą — zmieniała się koniunktura.

Od 1981 roku największy zysk dawało pole. Marek dokupił jeszcze trzy hektary. Po śmierci ojca — który choć mieszkał w Tarnowie, też kawałek Bieszczadów obsiewał — przeleli Nerojowie następne dwadzieścia hektarów. Mają teraz czterdzieści, w tym osiem nie wykarczowanych, jeszcze krzaków. Sieją rzepak, pszenicę, jęczmień, owies. Z tego są pieniądze. Z hodowli Marek jednak nie zrezygnował. Owce zaczęły zamieniać na wrzosówki. Parę lat temu, od swojego dawnego profesora z Lublina dostał trzy matki, dwa jagnięta i tryka. Jeszcze niedawno, fachowcy rolnicy z resortu uznawali, że wrzosówka — jedna ze starszych polskich ras — nie ma przyszłości. Neroj chcieli udowodnić, że jest inaczej. Niewielkie, łatwe w hodowli owce pięknie się w Paszowej zadomowiły. Stado liczy teraz 70 sztuk i być może Marek skrzyżsta z... resortowego Funduszu Odnowy Biologicznej, bo zmieniły się właśnie „oficjalne” poglądy na temat odpornej wrzosówki. Trzymając Neroj te owce w zagrodzie jakby „na przekór”. Ryzykował i wygrał. Odwiedził go kiedyś dawny profesor i powiedział całkiem wyraźnie, że takich wrzosówek jeszcze nie widział.

Mieszkańcy Paszowej to przesiedleni tu w latach czterdziestych chłopi z Limanowej. W powodzenie Nerojów nie wierzył nikt. Kiedyś fu przyjechali, od razu miejscowym podpadli. Byli przecież spoza tych gór. To wystarczyło, nie mówiąc już o dyplomach. Najpierw „usługi” zastawili w Nerojowych ulach pozostawiali — część pszczołek rodzin bieszczadzki bies trafił na miejsce. Później inni anonimowi gdzie mogli pisali, że Marek, to pewnie papiery ma podrobione, bo kto to widział, żeby inżynier z „bób” na dyplomie w takiej Paszowej zamieszkał. Byli i tacy którzy nowych na dożynkach „wyspiewywali” że niby Nerojowie to mocno „podpadają” — ledwie ziemię dostali a już samochód sobie kupili.

Sąsiedzi marudzili, ale niektóre pomysły osadników kupowali na pniu. Tak było z elektry-

pują u niego zboże, czasem pożyczają pieniądze. Przyszli, a proszą, żeby napisał jakieś podanie. Jadwiga również bywa przydatna. Ma w domu aparat do mierzenia ciśnienia, strzykawkę. W szpitalu nauczyła się robić zastrzyki. Zajął więc czasem mieszkańcy Paszowej do swojej „doktorki”.

Kto wie, jak byliby z Nerojami, gdyby nie to, jak sam inżynier spogląda na siebie i świat. Czasem narzeka, niekiedy kłnie. Krew go zalewa, bo z urzędnikami w gminie idzie gorzej niż z sąsiadami. W zeszłym roku na przykład... Odwiedził do GS dziesięć ton suchutkiego jęczmienia. Ze spółdzielni odeśladł go do zakładów zbożowych. Stamtąd do PGR pod samo Krośno. Na miejscu nie mieli ponoć suszarni, tak, jakby Nerojowemu zbożu ona w ogóle była potrzebna. W PGR okazało się, że nie ma kto jęczmienia przyjąć. Wreszcie kazali mu zrzucić jęczmień na plac, zmieszać z mokrym który wcześniej już ktoś tam wysypał. Zdenerwował się Neroj i nabrał pewności, że w Bieszczadach nadal się myśli rękami.

Teraz dał sobie spokój. Parę rzeczy zrozumiał. „Nie mam już czasu na myślenie, jak pracować inni. Nie mam czasu na kryzys wartości. Chłop to takie urządzenie — kończy tę kwestię — które musi pracować”. Jest chłopem z wyboru i nie chce mu się „prostować” innych. Po co ma być tak, jak w Mysiadle. Liczy się tylko to, co ważne — praca, z której rozlicza jedynie siebie. I jeszcze jedno — najważniejsza jest Jadzia. Jej przez ten czas było najtrudniej. Pole, dom, zagroda, trzech synów — Michał, to pierwszy Neroj z Paszowej, z wybudowanego już domu. Zrezygnował jednak nie chciała i przecież nie mogła. Kiedy nie było prądu, przy świecach wieczorami rolnicze książki czytała, bo o gospodarstwie — jak mówi — myśleć trzeba głową a nie rękami i przyniesionym do ziemi grzebiem.

Uparli się Nerojowie na swoje Bieszczady. I dali im część siebie. Zmieniło się u nich wiele. Prócz kombajnu i opryskiwacza, mają już i potrzebne maszyny. Po poza wszystkim mieli też trochę szczęścia. Początkowe usługi dla osadników, kredyty długoterminowe i krótkie — na bieżące potrzeby; tanie „gaziki”, czy choćby kupno za 36 tys. złotych z SKR ciętka Kiedy go kupili, był rozszabrowany wrakiem, którego nikt nie chciał darmo. Gdy przez rok, gromadząc do niego części, Marek powoli przysposobił maszynę do pracy, okazało się, że sfinansowany z zewnątrz traktor ma silnik po kapitałnym remoncie. Stary „C-40-11” służy do dziś.

Ich dochody to, co wyłącza z ziemi. W tamtym roku razem było dwa miliony. Odłali państwu podatek, zapłacili nawozy, soli, część długu. Nie boja się już, że chleba zabraknie. Kredytu do spłaty pozostało 600 tys. To za duży problem. Jeden hektar rzepaku daje im sto tysięcy, a sieją osiem hektarów. Poza ziemią, mają jeszcze coś ważniejszego — wciąż nowe pomysły, nadal im się chce. Piętnoście lat temu nie mieli pieniędzy. Byli jednak — jak mówi Marek — „naładowani” wzbudzeni zapalem, jak mocno podgrzane wino. Neroj nie jest poetą i nieważne że metafora nieświeża. Ważne, że wino dalej się burzy.

Dlaczego się na to zdecydowali? Chcieli być niezależni. Słyszeli nieraz, że inżynier z dyplomem wszędzie da sobie radę, znajdzie przytulny stołek. Tylko, że Nerojowie nie wierzą w żadne ciepłe posadki. Mówią, że nie umieliby znaleźć dla siebie miejsca gdziekolwiek indziej. Nauczycieli się polegają wyłącznie na własnej pracy. Gdyby kiedyś nie chcieli tego naprawdę, gdyby nie wiedzieli co to oznacza, przejeżdżby kredyt i dawno stąd wyjechali.

Kiedyś znajomego wożaka Neroj zapytał: „Czemu po ośmiu klasach nie poszłeś syna dalej do szkoły?” — „A szlag z tym — usłyszał. — Ty masz studia, a i tak nób wyrzucasz”. Jasne. Tylko to sprawa wyboru.

KRZYSZTOF SPYCHALSKI

GRUPY I SAMOTNIK

z nadzieją na jej trwałość, jak mówią prawnicy, zawłaszczenie. Rzecz się nie udała, po dwu zaledwie wystawach wspinała się zajęta jakieś magazyny, czy coś w tym rodzaju, a teraz trwa w niej remont. Grupa Marg natomiast się rozpadła, choć — mając własny lokal — mogłaby trwać i działać na wzór Grupy Krakowskiej którą już głównie siedziba w pałacu pod Krzysztoforami cementuje. Zdaniem złośliwców przynajmniej.

Z różnych bowiem przyczyn grupy się rodziły. O pierwszej i najbardziej przyjemnej, czyli walce o byt, była już mowa. O drugiej, czyli łączącej roli galerii też, a i o trzeciej, najbardziej wzniosłej, starałem się dać do zrozumienia, czyli jednokrotności zainteresowaniach tak melodyjnie ujętych w kowalskim, a więc rytmicznym boogie woogie.

Stworzyli więc grupę Polscy Ekspresjonści zwani później formistami w 1917 roku (co podaje, gdyż byli pierwsi w Krakowie i całej Polsce) i postimpresjonści (Komitet Paryski) i konstruktywści (Blok i Praesens) i lewicowa awangarda (Grupa Krakowska) i tytu, tytu innych o podobnym światopoglądzie, że brak miejsca dla ich wymienienia. Bo wtedy, w legendarnych więc czasach, istniały jeszcze narty artystyczne o jasno określonych celach ideowych i ujętej w rygoru formie. Nie bez racji wskaz

kami. Bardzo wysoka jakość dzieł, czyli kwalitet, to dwa. Oszczędność środków, czyli wysokie osobiste rygory, to trzy. No i piękno. Wykazanie, jak rozmaite mogą być w sztuce współczesnej jego oblicza, to cztery.

Czy to wystarczy, by zaważać grupę, choćby nawet była ona grupą nieformalną tylko? Dla mnie aż nadto, niech nam więc żyje jak najdłużej.

Po drugiej stronie, w Pałacu Sztuki, wystawia samotnie samotnik Stanisław Mazus. Dla pełniejszego obrazu samotności można jeszcze dodać, że również samotności poświęcone są jego obrazy: samotności ludzi i przedmiotów przez ludzi opuszczonych. I te właśnie, po weimerowsku czyste dzieła, polecam szczególnie wybrać z długiego ciągu innych i zadumać się na chwilę nad tym, ile urody może dostarczyć ujrzenie oko w widoku tak codziennym, niestety, jak zlew pełen brudnych naczyń, lub czymś równie trywialnym, a potem wyjść z nową nadzieją na zewnątrz. I staraj się owego spojrzenia nie zgubić do własny, tej właściwej, bez grypy, chandry, bólu głowy, tudzież innych dolegliwości naszej pseudowizji, w której tylko podwyższa cen była prawdziwa.

JERZY MADEYSKI



Samotności ludzi i przedmiotów poświęcone są obrazy Stanisława Mazusia wystawione w Pałacu Sztuki. Fot. JACEK WCISŁO

NA DROGACH NIEWIARY (II)

Żaden chyba naród na świecie — jeśli wierzyć Herodotowi — nie był tak pobożny, jak Egipcjanie. I rzecz paradoksalna: właśnie w Egipcie odnaleziono dokument będący prawdopodobnie najstarszym świadectwem jeśli nie ateizmu, to w każdym razie sceptycyzmu religijnego. W dokumencie tym pochodzącym sprzed 4300 lat znajduje się następujący fragment:

Wymarzona przez starą wiarę wieczna szczęśliwość polega w rzeczywistości tylko na tym, co można użyć na ziemi. Po tamtej stronie nie ma bowiem nic. Namaszczaj głowę swoją na ziemi, obejmaj ją w szaty z cienkiego płótna na ziemi. Popatrzy: nikt jeszcze nie powrócił z tamtego świata i nie opowiada ci, jak tam jest.

Podobna nuta sceptycyzmu znajduje się również w utworze zatytułowanym „Pieśń harfiarza”:

Nikt przecież stamtąd nie powrócił, dlatego dobre dla ciebie istnienie.

Pełną goryczy myśl o niedoskonałości bóstw wyraża i ko-

lei autor pieśni „Skargi zmęczonych żywymi”:

Jeśli ludzkość jest tak niedoskonała i zła, to stworzą jej jest również pełen niedostatków i obciążony wadami. W przeciwnym bowiem razie byłby poznal ulotny charakter pierwszych ludzi i rzuciłby na nich klątwę. Byłby zniszczył ich nasienie i stworzył tylko dobrych ludzi, a wówczas nieważne, okrucieństwo i ucisk nie istniałoby na ziemi.

Świadectwa te są zbyt skąpe, by w oparciu o nie móc określić zasięg zjawiska. Z drugiej strony, jak nas o tym przekonuje historia religii, każde społeczeństwo przeżywa erę zmierzchu bogów, różna tylko bywa skala i zasięg społeczny niewiary. Zresztą, granica między wiarą i niewiarą nigdy nie była ostra. Przekonuje o tym zarówno współczesność, jak i np. filozoficzna myśl grecka, w której krytyka religii pojawiła się już pół tysiąca lat p.n.e. Pisze: krytyka religii, gdyż jest to określenie na tyle obszerne, że mieści w sobie całą gamę poglądów od ateizmu po bliski mu skrajny sceptycyzm.

Jednym z wybitnych przedstawicieli tego krytycznego nurtu, który zainicjował proces wyzwalania się filozoficznej myśli greckiej spod dominacji sacrum, był Heraklit z Efezu (540—480). Odrzucał on wiarę, że świat jest dziełem bogów, twierdził, że materia istnieje odwiecznie.

Światem tego, będącego jednością wszystkiego, nie stworzył żaden z bogów... ale zawsze był, jest i będzie ogniem wiecznym żywym, który, zgodnie z rządzącymi nim prawami, rozpłomienia się i, zgodnie z tymiż prawami, gaśnie.

Nie dziwnego, że filozof ten ostro krytykował obrzędy religijne oraz ludzi, którzy „do posągów boskich zanoszą modły: to tak jakby ktoś rozmawiał z domami...”

Heraklit zwany jest „ojcem materializmu”, a przecież pewnym ryzykiem byłoby nazywanie go ateistą, skoro wierzył w rozumność materii.

Grecki Olimp krytykował Ksenofanes z Kolofontu (575—480), pisząc:

Wszystko bogom przypisali Homer i Hesjod, co u ludzi jest obelgą i hańbą. Kradzież, cudzołóstwo, uwagomnie oszukiwanie się. Śmiertelnik przypuszcza, że bogowie rodzą się tak jak oni, że noszą ludzkie ubrania i mają ludzki głos i postać.

Zdaniem tego filozofa, to nie bogowie stworzyli ludzi, ale ludzie stworzyli bogów na swój własny obraz i podobieństwo:

Gdyby byli, konie i lwy posiadali ręce i mogły nimi malować i posagi tworzyć jak ludzie, to konie malowałyby postaci bogów podobne do koni i takież ciała im dawały, a byki podobne do byków, takież dając im kształty jakiego gatunku posiada. Etiopowie twierdzą, że bogowie ich są czarni i płaskonosi, a Trakowie, że są niebieskooccy i rudowłosi.

Nawiasem mówiąc, zarzuty postawione Heraklitowi są tylko po części słuszne, gdyż autor „Theogonii” sądził, iż przed pojawieniem się bogów istniał chaos, a więc materia. Podobne poglądy wyznawał Anaksymenes z Miletu (610—550).

Lektura dzieł wielu filozofów greckich skłania do wniosku, że — powtórzmy — ich materializm nie zawsze był konsekwentny. Tak np. postawę typową dla agnostycyzmu reprezentował Protagoras z Abderi (480—411), który mawiał: „O bogach nś mogą powiedzieć ani że są, ani że ich nie ma”.

Do agnostyków, a przynajmniej do sceptyków salicyt można niejednokrotnie także tych filozofów, którzy stali z dala od materializmu. Przykładem może być Platon (427—347), który w „Państwie” pisał, iż o bogach wiemy tyle tylko, co nam, w oparciu o stare podania, przekazał poeci.

To samo rzecz można o wybitnym myślicielu, rzymskim Ciceronie (106—43), który w swym dziele „O naturze bogów” przyznawał: „Wydaje mi się czasami, że bogowie wcale nie istnieją”.

Sceptycyzm — pierwszy impuls popychający ludzi do szukania prawdy, do kwestionowania zastanych, powszechnie przytaczanych poglądów, był tym czynnikiem, który

skłaniał wielu filozofów do szukania źródeł religii. Opinie w tej kwestii nie były, oczywiście, jednolite. Niekiedy, jak Demokryt z Abderi (460—370) sądził, że źródłem wierzeń religijnych jest strach:

Ludzie pierwotni obserwujący takie zjawiska niebieskie, jak zdmoty, błyskawice i pioruny, zbliżenia gwiazd, zaćmienia słońca i księżyca, wpadali do przerażenia i sądzili, że przyczyną tych zjawisk są bogowie.

Również rzymski filozof Lukrecjusz (95—50), autor dzieła „O naturze wszech rzeczy” mniemał, że strach zrodził religię: Nigdy nic nie powstaje z niczego przez boskie zarządzanie. Bo tworga przytacza wszystkich śmiertelnych dla-

tego, że widzą wiele zjawisk na ziemi i na niebie, a nie mogą żadną miarą dociec ich przyczyn, uważają je za objawy boskiej potęgi”. Lapidarnie streścił ten pogląd znany nam z „Quo vadis” Petroniusz, pisząc, że „Pierwszy w świecie strach stworzył bogów” („Primus in orbe fecit deos timor”).

Z kolei Prodikos, żyjący w V wieku p.n.e. twierdził, że ludzie ubóstwili to, co dla nich cenne i pożyteczne:

Ludzie pierwotni uważali za bogów słońce, księżyc, rzeki, źródła i w ogóle wszystko to, co jakoś przysądza się naszemu życiu.

Niekiedy myśliciele greccy twierdzili, że „do rzędu bogów podniesiono po śmierci dzielnych, sławnych lub obdarzonych wielkimi zdolnościami ludzi”.

Nie jest rzeczą przypadkową, że część filozofów, spośród których najślawniejszy jest Diogenes z Synopy (404—323) jako główny argument przeciw wierze w bogów podnosił niesprawiedliwość i zło pleniące się w świecie. Podkreślał on fakt, z którym niemal każdy się spotyka, ten mianowicie, że pomyślność bardzo często towarzyszy ludziom nieuczciwym, złym.

Wspomniane wcześniej dzieło Cicerona jest dodatkowo o tyle cenne, że zawiera wiele informacji o tych spośród starożytnych myślicieli, którzy uchodzili w oczach swych współczesnych za ateistów. Do nich m. in. zalicza Ciceron Epikura (340—279), który uznawał prawdziwe istnienie bogów, ale głosił, że nie interesują się oni w ogóle ludzkiimi losami. Rzymski pisarz uważał, że Epikur był skrytym ateistą, gdyż „słowami był bogów uznawał, ale w rzeczy samej

odrzucał... Rozmowa swym wyrwał światynie i ołtarze bogów nieśmiertelnych... wyrwał z korzeniami religię z umysłów”.

Pogląd, że „bogowie nie troszczą się o sprawy ludzkie” wyznawał również żyjący w V wieku p.n.e. Trzymach. Można, oczywiście, wymienić znacznie więcej filozofów, którzy reprezentowali poglądy bliskie materializmowi czy wręcz materialistycznym. Np. Euhemera z Messeny (IV w. p.n.e.), o którym Ciceron pisał, że „podkopał religię”. Teodor z Cyreny (IV w. p.n.e.), który „nie uznawał ni bogów ni wladców”. Poglądy ich znalazły odbicie w opiniach szeregu myślicieli rzymskich. Ale — nawet najbardziej lista „ateistycznych” myślicieli może stanowić jedynie dowód, że wiarę w bogów, czy w życie pozaogrobowe odrzucały tylko mniej lub bardziej wąskie elity.

Tymczasem rzeczą o wiele bardziej interesującą jest pytanie o zasięg społeczny zjawiska. Na ten temat mamy stosunkowo liczne świadectwa rzymskie. Wynika z nich, że niewiara w Rzymie w epoce cesarstwa nie była czymś wyjątkowym, a sceptycyzm religijny obejmował liczne i różnorodne kręgi ówczesnego społeczeństwa. Tak np. Juwenalis (50—127), pisał:

W to, że są gdzieś many i królestwa podziemne i że jedyną łódź może wystarczyć do przewiezienia tylu milionów zmarłych — u to już nawet dzieci nie wierzą.

Znawca tamtej epoki Jerome Carcopino pisze, iż święta i uroczystości religijne ścigały zawsze wielu uczestników. Rzeczywiście, uroczystości ku czci bogów państwowych odbywały się nadal, jednakże ich uczestników o wiele bardziej interesowała oprawa ceremonii religijnych, niż sama religia. Przywiązanie do tradycji religijnych nie szło w parze z przywiązaniem do religii. Tak więc „bogowie mają swoich kapłanów, ale nie mają wiernych”.

Można powiedzieć, że — podobnie jak dzisiaj — wielu było praktykujących, ale znacznie mniej wierzących.

Obiektywizm nakazuje przecież spojrzeć na omawiane zjawisko z jeszcze jednej strony. Otóż niemal wszyscy Rzymianie, zarówno wierzący jak i nie wierzący w bogów byli niezwykle przesadni. W czary i magię wierzyli nie tylko prostactwo, ale i tacy, najbardziej oświeceni, pisarze jak Teokryt, Apulejusz, Lukan, Horacy, Wergiliusz, Owidiusz. Wszyscy oni bardziej wierzą w czary i w czarownice, niż L. H. Morstin, „niż we wszystkich swoich bogów, z groźnym piorunowładcą Jowiszem na czele”.

Nieprawdą więc okazuje się opinia, że wiara i niewiara odrębny chadzały ścieżkami. Przeciwnie: spotykają się one częściej, niż sobie wyobrażamy, na tych samych drogach. NIEZNANE bowiem rodzi zarówno wiarę i niewiarę.

WIESŁAW MERCIK



Niniejszy odcinek obrazuje nastroje panujące wśród mieszkańców Kijowa i jego okolic na wieść o tragedii.

ODCINEK IX

Upalny maj 1986 roku był w Kijowie szczególny: miasto, i bez tego zazwyczaj czyste, aż lśniąco wylizane, wypucowane do granic możliwości. Nieprzerwanie, całymi dniami jeździły po ulicach poławiaczki, splukując z gorącego asfaltu skażony kurz. Wszędzie, na progiach domów, biur, sklepów i nawet cerkwi, leżały mokre szmaty, a częste wycieranie butów stało się prawie obowiązkowym rytuałem. Ulice miasta były tak samo pełne ludzi, ale jeżeli przyjrzeć się uważnie, widać było, że zmniejszyła się naprawdę liczba dzieci: na początku maja ludzie na gwałt zaczęli wywozić dzieci z Kijowa — w sposób zorganizowany i prywatnie, podciągami, samolotami, autobusami i samochodami osobowymi. Na zachód, południe i wschód ruszyły ogromne kolumny samochodów osobowych z załadowanymi bagażnikami. Jechali rodzice, wywożąc swoje pociechy, dziadków i babcię, jechali do rodzin i znajomych, a wielu z nich — po prostu przed siebie, byle dalej od radioaktywności.

W komunikatach prasowych tamtych dni podkreślano, że Kijów i obwód kijowski tętni normalnym życiem. To prawda, ludzie nie załamali się w obliczu nieszczęścia, walcząc z awarią i jej skutkami — miasto na pierwszy rzut oka prawie się nie zmieniło i wewnętrzna, najbardziej istotna jego struktura też nie uległa zmianie. Jako że normalnie funkcjonowały przedsiębiorstwa, transport, handel, instytucje, biura i urzędy, funkcjonowała (co prawda z niewielkimi zakłóceniami) łączność, ukazywały się gazety.

Wydać się mogło, że jak nigdy dotąd miasto pełne jest po brzegi pięknych dziewcząt, że nie było jeszcze tak bujnej, znieśławiającej wiosny w jego historii. Nigdy nie zapomnę jak kiedyś po powrocie z Czarnobyla ujrzałem Kijów spowity przedwiośniowym zmrzokiem. Wszystko było takie swojskie i dobrze mi znane: nad stacją metra „Lewobrzeżna” górowała sylwetka nieukończonych hotelowych wieżowca. Naprzeciwko, na parkingu, połyskiwały dachy samochodów osobowych, które niby stadko różnokolorowych rybek zgromadziły się tu na nocleg, lgnąc do płaszczyzn brzośców tej ziemi. Pociąg metra jak strzała zbliżył się do mostu, żeby za chwilę dać nura w głębie kijowskich wzgórz i dudniąc popędzić na Kreszczatki. Dniem pod mostem pęczniał od wiosennych wód, patetyczny w swym znikającym we mgle bezmiar. Na nadbrzeżnych bulwarach całowały się zakochane pary, zmezczeni ludzie wracali do domów — i nagle te zwyczajne, kiedyś indziej nie robzące na nas wrażenia obrazy z życia wielomilionowego miasta wstrząsnęły mną do głębi. Jakbym doznał oświecenia, zrozumiał niezwykle ważną rzecz, która zaistniała w mojej świadomości podczas ostatnich dni. Ten spokojny wieczór wydał mi się tak nierzeczywiście piękny, jakby na zawsze tętnił się z miastem, z wiosną i z samym życiem. Nieznajomi ludzie stali mi się bliscy, a powszedniość Kijowa zupełnie inna i nowa. Nowa w świetle zaistniałego tak niedawno (zaledwie w odległości dwóch godzin jazdy samochodem) awarii, nowa w dniach, kiedy każdy był wyczułony do granic możliwości na niebezpieczeństwo. Po tem to młoko.

Dniem, wózeźra, domy i ludzie — wszystko to, tak normalne i zwykłe, wydawało się wtedy dziwne, jakby żywym wzięte z filmu fantastyczno-naukowego. Szczególnie często nasuwały mi się asocjacje z filmem „Ostatni brzeg”, mówiącym o tym, jak po trzeciej i ostatniej w historii ludzkości wojnie atomowej Australia z rezygnacją oczekuje nadciągającej chmury radioaktywnej. Najdziwniejsze i najbardziej nieprawdopodobne wydawać się mogło w filmie to, że w sytuacji krytycznej ludzie żyją jak przedtem, nie zmieniając swych przyzwyczajęń, zachowań zewnętrznych, spokojni, trwając jakby śpią bezwładnie. Okazało się, że to najprawdziwsza prawda. Przyzwyczajenia mieszkańców Kijowa wcale nie uległy zmianie.

A jednak to patriarchalne, stare miasto ze złocistymi kolumnami soborów, przechowywujące pamięć o odległych wiekach, zaledwie w ciągu dwóch tygodni zmieniło się niezwykle, dostosowując się do oblicza nowej epoki atomowej. „Epoka atomowa” — ta dziewczęca metafora, niejednokrotnie powtarzana przed awarią, stała się surową rzeczywistością; sfornułowano: „kontrola dozymetryczna”, „radiacja”, „dezaktywacja”, wszystkie te „milirentgeny”, „rady”, „remy”, a także wiele innych pojęć na stałe weszły do leksykonu mieszkańców miasta. Postać człowieka w kombinzonie, z respiratorem na twarzy i licznikiem Geigera w dłoni zaczęła pojawiać się wszędzie i stała się czymś tak normalnym, jak korki na szosach przy rogatkach Kijowa; wprowadzono tam bowiem obowiązkową kontrolę dozymetryczną wjeżdżających samochodów.

Na targowiskach Kijowa poniknęło z ład mleko i jego przetwory, zabroniono sprzedawania sałaty, szczawu i szpinaku. Pozostałe dary szkodliwej ukraińskiej ziemi — rzodkiewki i truskawki, młode ziemniaki i cebule — poddawano kontroli dozymetrycznej. „Jak Boga Kocham, nie ma w nich tej radiacji” — były się w pierś chłopki, handlujące na Bessarabce, oferując truskawki za bezcen. Ale i tak prawie nie było chętnych.

I, jak to bywa zazwyczaj, niezrozumiałe w swych przejawach życie dorosłych zaczęły malpować dzieci. Tak więc na Rusanowce miałem możliwość zobaczyć, jak dzieci z patykami w rączkach biegają wśród krzaków „mierząc” poziom napromieniowania — to była zabawa w obsłuszkawkomierzy. A jedna z dziewczyn, owinięta aż po czubek nosa prześcieradłem, chodząca po klatce schodowej i robiąc „straszna” minę mówiła grobowym głosem: „U-u, jestem radiacja, uciekajcie, jestem brzydka i zła...”

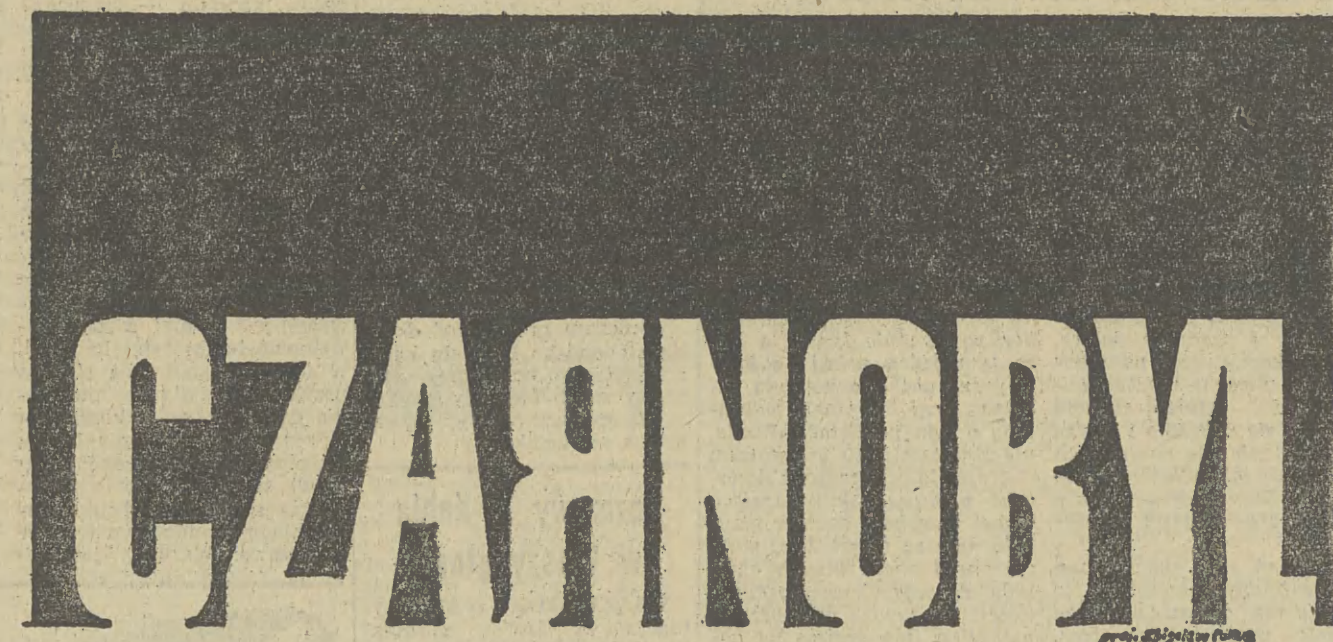
„W Kijowie sytuacja jest unormowana” — twierdzone w gazetach, radiu i telewizji, i była to prawda. Kijów zachował twarz, godność w obliczu samego siebie, całego narodu

i świata — niejednokrotnie podkreślali to ze zdziwieniem i szacunkiem goście stolicy Ukrainy. To wszystko prawda.

Ale istniał także inny Kijów. Niedostępny dla niepożądanego oczu, nie absorbujący uwagi gazet i telewizji. Jednak gdyby o nim nie wspominać, musiałbym zatać część prawdy, zniekształcić skomplikowany obraz wypadków. Było więc także miasto podekscytowanych tłumów, zgromadzonych przed kasami kolejowymi i lotniskami. Były dni, kiedy nawet ci, którzy już mieli bilety, nie mogli przedostać się na dworzec i musieli interweniować milicja. W przedziałach czteroposobowych wyjeżdżało po osiem—dziesięć osób; za bilet do Moskwy kosztujący piętnaście rubli spekulanci żądali do stu rubli. Prawie do łez wzruszył mnie wtedy (choć nie jestem zbyt sentymentalnym osobnikiem) doktor nauk medycznych, pracownik naukowy kijowskiego instytutu onkologicznego Eugeniusz Lwowicz Jerusalmiski, człowiek, którego poznałem zaledwie trzy dni przed tą historią. Przyszedł do mnie i zaproponował mi bilet do Moskwy dla mojej córki. I chociaż nie skorzystałem z jego uprzejmości, w tamtych dniach taki gest był świadectwem prawdziwej przyjaźni... Wtedy też, jak w czasach wojny, błyskawicznie uległa zmianie szereg utartych schematów i wyobrażeń. Szczególnego znaczenia i wartości nabierały znowu takie pojęcia jak werność, lojalność, obowiązki i prawda. W maju w wielu mieszkaniach Kijowa rozmawiały telefoniczne sygnały z różnych miast Związku Radzieckiego. Dzwonił znajomi, rodzina, przyjaciele, zapraszając do siebie. Był jednak tacy, którzy nie dzwonił, chociaż wydawać się mogło, że zgodnie ze wszystkimi przedczarnobylskimi kanonami przyjaźni, powinni byli to zrobić.

Długo, bo cały miesiąc, czekałem na telefon z Moskwy od pewnego człowieka, którego uważałem za prawdziwego przyjaciela, który niejednokrotnie długo i często gościł u mnie w domu. Nie doczekałem się. Ale za to zupełnie nieoczekiwanie

JURIJ SZCZERBAK



zadzwonił z Baku ormiański pisarz Georg Michajłowicz Agadzian, z którym spokalem się przypadkowo w Kijowie tylko raz w życiu — zaproponował mi, żebym przysłał do nich córkę na całe lato...

Z wieloma dziwnymi i nieoczekiwanymi rzeczami przyszło nam zetknąć się w tamtych dniach. Jak myśleć, po co ustawiły się kilometrowe kolejki w domu towarowym na poczekaniu maja? Po cichy z Finlandii, zachodniemieckie buty czy jugosłowiańskie kozuski? Nie. Po walizki i torby podróżne.

Kijowskie mieszkania dosłownie puchły wtedy od rozmów i dyskusji, od plotek i rozważań, od przypuszczeń i realnych faktów. Podejmowano i natychmiast zmieniano decyzje, wysuwano fantastyczne projekty, opowiadano anegdoty i prawdziwe historie. Całe miasto zaczęło debatować na temat czarnych wołg, zajeżdżających na plac dworcowy, długich kolejek przed kasami po bilety lotnicze i innych spraw.

Paniki w Kijowie nie było. Ale była ogromna obawa o zdrowie dorosłych i dzieci i z tym niepokojem też należało się liczyć.

Wszyscy z pewnością pamiętają zdjęcia zburzonego reaktora, które obiegły prasę. Nawet ci, którzy nie znają się na energetyce atomowej, byli wstrząśnięci nienaturalnym wyglądem reaktora. Specjaliści zaś wiedzieli, że skala tego, co zaszło jest wydarzeniem bez precedensu. Najpierw chmura ruszyła na północny zachód i na zachód. 30 kwietnia zmieniła kierunek wiatru i powiała w stronę Kijowa. Radioaktywne aerozole popłynęły w stronę wielomilionowego miasta. Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie — byłem wtedy w ministerstwie zdrowia Ukrainy. Pamiętam, jak wśród lekarzy narastała napiecie i niepokój, jak podczas rozmów w gabinetach i na korytarzach ministerstwa była mowa o zastoso-

owaniu awaryjnych środków zapobiegawczych. Były projekty zwrócenia się do mieszkańców do specjalnym apelem o zachowanie szczególnej ostrożności. Ale aż do 6 maja nikt się do tych projektów nie zastosował.

Wielu, bardzo wielu oskarżało w tej chwili służbę zdrowia: dlaczego nie ostrzeżiliście w porę? Nie mam zamiaru na siłę bronić swoich kolegów — mają wiele grzechów na sumieniu. Lecz gwoili sprawiedliwości chcę zauważyć, że nie służba zdrowia zawiaduje ślepią informacyjną. Podejmowanie najważniejszych decyzji też nie leży w jej gestii. A te właśnie decyzje były wówczas niezbędne. Już w końcu kwietnia należało się poważnie zastanowić nad sensem obchodów święta pierwszomajowego w Kijowie i regionach sąsiadujących z zoną — szczególnie zaś nad udziałem w nim dzieci. Jestem pewien, że stosunek emocjonalny ludzi radzieckich do tego święta i ich uczucia patriotyczne nie uderzyłaby w przypadku odwołania pochodów. Opowiadano mi, że wkrótce po wojnie, na Białorusi, odwołano kiedyś pochod pierwszomajowy z powodu... deszczu. I nie się nie stało. Na pewno więc w 1986 roku ludzie ze zrozumieniem i wdzięcznością powitaliby podobną decyzję, rozumiejąc konieczność awaryjnego zakazu wyprowadzania dzieci na zewnątrz. Dlatego, że strasznym zrytem są zdjęcia zburzonego reaktora i uśmiechniętych dzieci z bukietami kwiatów, maszerujących w świętym pochodzie. Czyż nie można było poprosić ludzi, którzy w te świętne dni zapelnili parki, place i podmiejskie lasy, żeby powstrzymali się od korzystania z uroków wiosny? Na pewno zrozumieliby to.

Już słyszę odpowiedź, że poziom napromieniowania w Kijowie nie przekraczał krańcowych norm dopuszczalnych, po cóż więc tyle krzyku? Ale istnieją jeszcze przecież krańcowo dopuszczalne normy strachu i niepokoju, które w tym czasie przekroczyły wszystkie możliwe granice.

Nie wolno było ignorować obaw powstałych w wyniku katastrofy i walczyć z nimi bądź przy pomocy milczenia, bądź huraoptymistycznych zapewnień. Przecież w ciągu dziesiętnych lat gazety, radio, telewizja i literatura popularnonaukowa same podsycały tę obawę, barwnie opisując potworności wojny atomowej, wszystkie jej somatyczne (cielo- i genetyczne skutki). I chociaż skala czarnobylskiej katastrofy jest nieporównywalna do wybuchu bomby atomowej, strach przed promieniowaniem okazał się potężny. Zmniejszyć go, złagodzić psychologiczne skutki awarii można było przy pomocy jak najszybszego zastosowania prostej profilaktyki informacyjnej — ale nie 6 maja, tylko grubo wcześniej. Jak mówi ludowe przysłowie: „strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

Pisałem o tym wtedy i teraz mogę to powtórzyć z jeszcze większym przekonaniem: jedna z najbardziej surowych i bezwzględnych lekcji pierwszego (następnych zresztą też) miesiąca „czarnobylskiej ery” udzielona została naszym masmediom, które nie potrafiły zmodyfikować swej działalności tak, żeby być w zgodzie z decyzjami XXVII zjazdu partii. Burzliwy rozwój wydarzeń bardzo skrócił czas niezbędny do „rozhuśnięcia”, potrzebny na różnego rodzaju uzgodnienia i niejasności. Zapamiętałśmy kilka trudnych dni naszego życia — od 26 kwietnia do 6 maja — kiedy zupełnie brak było rodzinnej informacji, za to rozuhały się na falach eteru obce radiostacje, znęcając się nad tymi, którzy przyłknęli do odbiorników. Nie ma się co okłamywać — było ich wielu, ponieważ natura nie znosi pustki, w tym również informacyjnej. Wszystko to miało szkodliwe konsekwencje nie tylko natury ideologicznej, ale także zdrowotnej. Dziś już nie da się obliczyć, ilu ludzi trwało w tych dniach w stanie ciężkiego stresu, obawiając się o zdrowie i życie swoich najbliższych i dzieci, niepewni stanu swojego zdrowia.

W Kijowie pojawili się „katastrofiści” — roznosiściele róż-

norodnych panikarskich plotek, i „optymiści”, którzy mieli wszystko w głębokim poważaniu. W maju, podczas upałów, można więc było spotkać na ulicach miasta pokraczne istoty, od stóp do głów zakutane w stare ubrania, w czapkach, kapeluszach albo chustkach zakrywających pół twarzy, w rekawiczkach i grubych pończochach. To byli „katastrofiści” mobilizujący w ten sposób wszystkie możliwe środki ochrony indywidualnej. Nie potępiał ich, ale po spotkaniu z zoną i jej problemami wszystkie te kijowskie strachy były po prostu śmieszne.

Po kilku dniach milczenia, podczas których informacja była nad wyraz skąpa, pojawiły się w końcu liczne artykuły w gazetach, telewizja rozpoczęła transmisje ze spotkań z fachowcami. Ale... Szereg publikacji cechował ten charakterystyczny, huraoptymistyczny ton, jakby mowa była nie o ogromnej ludzkiej tragedii, nie o jednym z najbardziej ponurych wydarzeń XX wieku, ale o alarmie szkoleniowym albo o zawodach drużyn strażackich w porożowanych warunkach... W myśl starych nawyków, jakie pozostały nam w spadku po czasach wszechogarniającej szczęśliwości, chcieliśmy przekazywać tylko uspokajające, radosne wieści; czuło się obawę przed jawnością w sprawach najbardziej drażliwych i nieprzyjemnych, do których między innymi należał Czarnobyl. Oczywiście, byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie odnotował również tego nowego, co pojawiło się w pracy środków informacji masowej. Myślę tu chociażby o eksperymencie telewizji ukraińskiej: codziennie, poczynając od maja, redaktorzy i operatorzy popularnego programu aktualności, ludzie nie tylko utalentowani, ale i odważni (musicie Państwo przyznać, że niełatwo jest filmować w zonie, gdzie się jest narażonym na promieniowanie), szczegółowo informowali telewidzów o tym, co dzieje się na terenie elektrowni i wokół niej.

Ale tak było później.

A między trzecim i szóstym maja Kijów został wydany na pastwę potwornych plotek: mówiono, że łąda moment w elektrowni nastąpi wybuch, bo temperatura w reaktorze osiągnęła górną granicę tolerancji i płonący rdzeń reaktora może przebić betonową osłonę, wejść w kontakt z wodą, zgromadzoną pod czwartym blokiem i wtedy... Jedni zapewniali (to byli „katastrofiści”), że nastąpi wtedy wybuch wodoru (fizycy stanowczo temu zaprzeczali), inni („optymiści”), że będzie to tylko wybuch pary. Obydwa warianty były w zasadzie niewesołe. Mówiono, że przygotowuje się ewakuację Kijowa, i wiele, wiele innych rzeczy...

(d.e.n.)

Przetłumaczyła
WALERIA PAWŁOWICZ

Junost' nr 7 (1987)

KSIĄŻKI

...przychodzą na świat, chorują, wracają do życia i — wreszcie — umierają. Kółko się zamyka. Tak się zaczyna i tak — z wyjątkami — kończy życie człowieka w tzw. cywilizowanych, normalnych warunkach.

Właśnie o tej — szpitalnej — rzeczywistości traktuje nowa książka Krystyny Rożnowskiej, dziennikarki od wielu lat specjalizującej się w problematyce społecznej. „Żyć każdego dnia” — tak, nosi tytuł — zaliczamy do ciekawych pozycji reportażowych roku 1987. Nie tylko ze względu na temat. Od niepamiętnych czasów — i w naszej współczesności także — brało się z nim za bary wielu poetów, prozaików, pamiętnikarzy i reporterów. Jednym to wychodziło, drugim nie. Jedne utwory — jak „W wolnych chwilach przed śmiercią” Anny Stroniskiej — pozostały w literaturze, o drugich nikt nie będzie pamiętał. Przypomniał mi to książkę Anny Stroniskiej — wydana przed dziesięć laty — bo, po pierwsze, wybitna pod względem literackim, wiecznie aktualna i niedoceniona przez krytykę i wydawców; za cicho o niej było w środkach przekazu, za niski miała nakład i tylko jedną edycję. Przypomniałam ją również dlatego, że materia jej jest podobna do książki Rożnowskiej: fakty z codziennego szpitalnego bytowania. Inny natomiast jest „punkt obserwacyjny” obu autorek. Stroniska była pacjentką, Rożnowska należała do grona pomocniczego personelu służby zdrowia.

W szpitalnym łóżku...

I tu przechodzę do najważniejszej sprawy. „Żyć każdego dnia” nie wyróżniałaby się wśród reportażów społecznych wydanych w ubiegłym roku, gdyby autorka pisała ją z dziennikarskiego „doskoku”, nie zaś — jak uczyniła — po roku pracy w szpitalu. A więc: kolejna dziennikarska „woleńiówka” po głosnych przed laty tomach Janusza Rolickiego („Brałem łapówki”), Jacka Snopkiewicza („Człowiek w bramie”) i ostatnio — w tymże 87 roku Janusza Nicyporowicza („Czyścić”)? Nie. Rożnowska nie nałożyła maski, by — jak pisze Nicyporowicz — „zbliżyć się do źródła prawdy i uzyskać informacje niefalszywe, i pierwszej ręki, oraz przeniknąć tam gdzie dzieją się rzeczy niezwykle, ukryte przed wzrokiem przechodnia”. (...) Zdecydowałam się pójść do szkoły pielęgniarzkiej — zwierza się we wstępie — i przez rok pracować w krakowskich szpitalach jako praktykantka. (...) Wiedziałam, że jest to dla mnie, dziennikarki (dodajmy: z kilkunastoletnim stażem — K. G.), jedyna furtka przez którą mogę wejść, z odpowiednim przygotowaniem i orientacją, do szpitala, gdzie rozgrywa się często dramat ludzki (W roku 1984 otrzymałam dyplom pielęgniarzki). Nie twierdząc, że poznałam do końca szpitalną rzeczywistość ale na wiele pytań znalazłam odpowiedź, pojawiły się też nowe! Pytań tych autorka nie stawia wprost — są ukryte między wierszami — to książka, co uważam za jej duży plus, całkowicie jest pozbawiona publicystycznego komentarza. Czytelnik, śledząc opisy „każdego przeżytego dnia”, sam je sobie zadaje:

Czy obcowanie na co dzień z cierpieniami i umieraniem pacjentów pozbawiło lekarzy i pielęgniarzy „uczucie ludzkości”, czy też ich niewrażliwość jest konieczna — i musiełi ją w sobie wyrobić — bo bez niej nie mogliby nieść pomocy chorym? Kiedy powinni mówić im prawdę, a kiedy muszą kłamać by nie zniszczyć resztek utrzymującej ich przy życiu nadziei? Czy dobry jest taki chirurg, który, zadając operowanemu ból, nie współczuje mu, czy też taki, który cierpi z nim razem?

Jakiekolwiek byłyby odpowiedzi na te pytania, fakty, przedstawiane przez reporterkę, są świadectwem, że lekarze i pielęgniarze robią wszystko, by pomóc pacjentom od chwili ich narodzin do śmierci. Przyna to, myślę, nawet najbardziej sceptyczny czytelnik. Tym bardziej, że kwestia ta nie wyczerpuje tematu: „człowiek w szpitalu”...

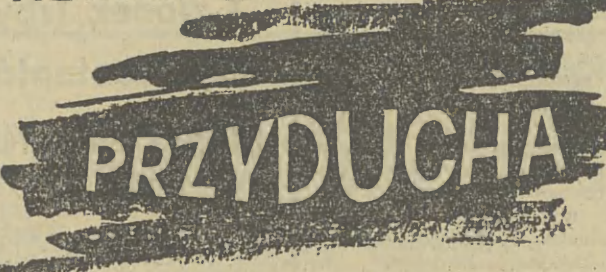
Opisy rzeczywistości zamkniętej w czterech ścianach sal zabiegowych, wieloosobowych pokoi chorych i separatach, jadali, łazienek i kuchni kilku oddziałów — od położniczego, poprzez pediatryczny, psychiatryczny, kardiologiczny do neurologicznego — to obrazy z makabrycznego snu, choć autorka posługuje się językiem nad wyraz oszczędnym i nie daje upustu kobiecym emocjom. Zdeprawowane pomieszczenia i instalacje, lepkie i śliskie od zastarzałego brudu; śmierdzące sanitarium, urągające podstawowym zasadom higieny; karaluchy spacerujące po zlewach, stołach i podłogach kuchennych; brak kocy pościeli, środków opatrunkowych, lekarstw... I wreszcie — „przedostatni przystanek” — korytarze zapełnione polowymi łózkami, przeznaczonymi dla tych, którym już pomóc nie można... Reporterka zastrzega, że we wstępie, że celem jej nie było oskarżanie kogokolwiek; chciała jedynie przekazać innym to, co sama przeżyła i zaobserwowała w ciągu dziesięciu miesięcy pielęgniarzkiej pracy w roku 1983. Nie ładny się: nie jest to obraz prześlaskawiony, co gorzej, dotyczyć by mógł wielu innych polskich obiektów służby zdrowia, nie tylko na początku lat osiemdziesiątych, ale i dzisiaj także. Książka jest więc oskarżeniem. Oskarżeniem tych wszystkich, którzy w przeszłości dopuścili do upadku naszego szpitalnictwa.

Największą satysfakcją dla reportera jest społeczny rezonans jego utworów. Można mieć nadzieję, że reportaż Krystyny Rożnowskiej przyczyni się nie tylko do zmniejszenia bariery „niewiedzy i leku, jaką my, zdrowi ludzie, oddzielamy się od szpitala”, ale również do tego, by takie szpitale już jedynie przysięść się mogły znerwicowanym kobietom.

KRYSZYNA GOLDBERGOWA

*) Krystyna Rożnowska — „Żyć każdego dnia”, nakład 15 tys. egz., Krajowa Agencja Wydawnicza, seria: Współczesny Reportaż Polski, Warszawa 1987, cena zł 160.

ROMAN BRATNY



— 11 —

— No i proszę — oznajmił — podali sobie rękę — rozeszliśmy się cicho. — Bo Grebosz i Kazubek to mają swoje rachunki. Kiedyś obaj startowali do Marychy. Pozostawiając szachetki na rozmowy — Rączka miał swój obrazowy język, w którym umiał celnym skrótem zastąpić długą relację.

— Ale teraz był w nastroju epickim. Wyraził żal, że nie ma „ani butelki”, „Czarnej Hańczy”. Był w tym gorzkim stwierdzeniu cień nadziei. Ale że Dasio nie rozumiał aluzji, a milczenie znaczyło wrznięcie się do roboty, Rączka zaczął historię Kazubkowego konia.

Jeszcze trzy lata temu to by trzeba sprządać parę od dwóch gospodarzy na taki transport — poklepał bal wieńczący ułożoną przez nich piramidę.

Opowieść o tym jak Kazubek zarobił perszerona była długa — w połowie przeniesli się do cienia pod gruszą. Rączka beztrosko wykorzystywał fakt, że gospodarz-inwestor zamknął się w namiocie oddał się pracy pisarskiej. Opowieść była rodzajowa i Dasio słuchał z przyjemnością

jak to do leśniczego w Puszczy przyjechał na polowanie Ktoś Najważniejszy z województwa. Przyjechał, bo i prawda było, że chodził wtenczas na szkody w owsy odniedkaj koni. Świat takiego nie widział. Nadleśniczy chciał się umocnić i gościa Najważniejszego przywalić. I wszystko byłoby dobrze, jako że gospodarz na krok go nie odstępował, ale też nocy, co szczęście przyniosła Kazubkowi, właśnie był zasnął na zasadce przy owasach i czuł tylko sam Najważniejszy Myśliwy. Kazubek miał konia kobylicę mizerną, białą z takimi brązowymi kropkami...

— Deresz... — mruknął Dasio, który znał się na koniach.

— Niech będzie. Ale śmiech największy, że biała...

— Deresz.

— Niech będzie. I wysłał klacz przy kalety na ten owies. No i po koniu. Nadleśniczy potem opowiadał, że jak go strzał obudził, to jeszcze w półśnie usłyszał rżnięcie i już wiedział. Uciekajmy — woła. Ale Najważniejszy jakby zgubił, upiera się, że strzelał do dzika. Na dobrą sprawę to gdzie uciec, kiedy cała okolica wie ko poluje? No i leży konisko. Dobrze mu przyładowała na komorę. Panie, co się nie dzieło. Nadleśniczy konia poznał. Do Kazubków. A tam matka na ziemię się rzuciła, pod nogi obejmując, że to zwycięzca jedyne go zabił, że zginął. Myśliwy, że zapłaci, a baba w krzyk, że co tam pieniędzy, konia takiego drugiego za żaden pieniądź nie dostanie. No i po śmierci ta ochwacana kobylica wyrosła na robotnego smoka... I pieniędzy ona za nie nie przyniela, tyle że mogą po jarmarkach konia stosownego poszukać, to wtedy zgoda, tego zabitego się cichem zakopie... Panie, przez cztery tygodnie Kazubek z sekretarzem tego Najważniejszego po jarmarkach jeździł zanim na tego perszerona nie trafił. Jak to nie wiadomo, kiedy się do człowieka szczęście uśmiechnie... No, trudno, kiedy kto szczęścia nie ma, robić musi — Rączka podniósł się i dźwignął topór w maszerował z cie-

nia jabłoni. Od strony jeziora niosło mlarwowe pokiukiwanie rybackiego agregatu.

Nazajutrz, na 5 dni przed końcem zamierzonych urlopu, Mały Góról odebrał z Warszawy list. Akurat było to w obecności zięcia.

— Halina — oznajmił patrząc na adres nadawcy. Rozumieli się: adres na ojca z pominięciem męża był niepokojący.

— Na szczęście nie takiego. Tyle, że jest pierwsze zdanie znaczące. Otóż za dwa dni jest druga rocznica waszego ślubu... Może wyślesz depesze. Napisała, że ty oczywiście nie o tym nie wiesz. Bezpieczniej byłoby pojechać — zakończył niechętnie.

No i wrócił o dwa dni wcześniej. Cóż z tego. Były kwiaty. Ciocia wydała obiad. Ale cóż z tego — jeszcze miał urlop — zawieruszył się z koleśkami i wrócił niemal o północy. Widząc zasłuchaną obrazę i macierzyński wyrzut w oczach oznajmił pogodnie, że prawdziwy mężczyzna jeśli kocha to obchodzi rocznicę pierwszej kopulacji nie ślubu... Był w stanie, w którym Rączka objawy go tym jedynym ramieniem i przeprowadził w cień pod gruszę, ale tutaj był tylko niemy szloch. Włec zamiast być pocieszony on pocieszał. Był to dzień poczęcia kolejnego dziecka. Wychowana przez babkę w katolickich zasadach Halina uważała prokreację za cel i sens małżeństwa.

Co z tego, że zdobył wreszcie mieszkanie, skoro z miejscą znalazł się w oblężeniu pieluch i nocników.

Z tym większą furją rzucił się do pracy. Cóż, kiedy w zgodzie z pewnymi cechami charakterologicznymi już po pół roku był skłócony z zespołem. Ludzie przyzwyczajeni do biurokratycznych rytymów pracy Instytutu godzili się ze wszystkim, co do nich pływało z gabinetu Jurasa.

(c.d.n.)



Nr 252

Prosto z Calgary

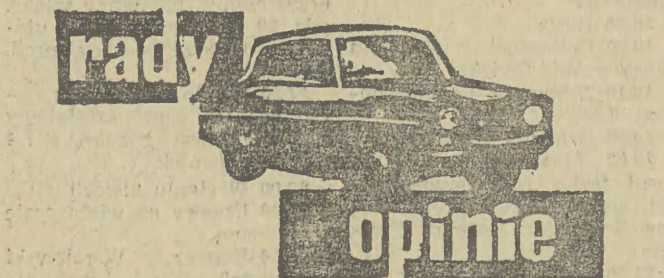
Konkurs rozstrzygnięty

Kończymy kolejną edycję naszego konkursu o tematyce bezpieczeństwa ruchu drogowego. I znowu mało kto porywał się, by zająć za innych niż „Prawo o ruchu drogowym” przepisów i trafnie odpowiedzieć na pytanie o sposoby parkowania samochodu. Szo bowiem o to, by nie tylko wymienić sposoby ustawienia samochodu na jezdni bądź chodniku znane z „Prawa o ruchu drogowym”, ale także zakaż ustawiania samochodów

zety Krakowskiej” ul. Wielopole 1 III p. pok. 315 u p. Urszuli Psarskiej. A za tydzień kolejna edycja konkursu i dodatkowa nagroda, bo kolejnym fundatorem jest Okręgowa Komisja Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego Polskiego Związku Motorowego.

Droższe przeglądy techniczne

Z dniem 1 lutego br. wzrosły opłaty za przeglądy techniczne samochodów. I tak za okres-



podaje po raz 590. WOJCIECH MACHNICKI

tyłem do okien budynków na drogach wewnętrznych.

W wyniku losowania nagrody otrzymują: 1. 4 litry oleju AGIP NEW SINT 2000 MIECZYSLAW BONIER Kraków ul. Czarnowiejska 6. 2. mycie i woskowanie nadwozia w firmie CAR-WASH w Krakowie przy ul. Modrzejewskiej 30 (termin realizacji nagrody trzeba uzgodnić z właścicielem) WIESŁAW GRAMATOWSKI Kraków ul. Nowy 14/3. 3. komplet reflektorów halogenowych z żarówkami H-3 z firmy WESEM JAN BADEK MYŚLENICE os. 1000-lecia 16/34. 4. lampy tylne-mielne i cofania z firmy WESEM JANUSZ PALUCH Kraków ul. Aleksandry 5/88. 5. lustro wewnętrzne do mocowania na rynek z firmy WESEM ANDRZEJ ZIARKOWSKI Kraków ul. Friedleina 5/1.

Nagrody do realizacji od najbliższego poniedziałku 22 lutego br. w administracji „Ga-

zety Krakowskiej” ul. Wielopole 1 III p. pok. 315 u p. Urszuli Psarskiej. A za tydzień kolejna edycja konkursu i dodatkowa nagroda, bo kolejnym fundatorem jest Okręgowa Komisja Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego Polskiego Związku Motorowego.



Tak oto wygląda najnowszy model samochodu „BMW 524td”. W programie produkcyjnym Bayerische Motoren Werke od 1916 r. wytwarzającej silniki lotnicze, samochody osobowe pojawiły się znacznie później, a silniki wysokoprężne do nich montowane to nowość ostatnich lat. „BMW 524td” ma silnik 6-cylindrowy o pojemności 2443 cm i mocy 85 kW (115 KM). Współczynnik oporu aerodynamicznego 0,32 na pewno przyczynia się do niewielkiego zużycia paliwa, wynoszącego średnio 7,1 l/100 km (90 km/godz. — 5,1, 120 km/godz. — 6,6, jazda miejska — 9,4 l/100 km). JERZY DOBRZAŃSKI, prowadzący w Krakowie przy ul. Eisenberga jedną w Polsce południowej autoryzowaną przez BMW stację obsługi, twierdzi, że w naszym kraju zainteresowanie nowym dieslem z Monachium jest spore. Ponoć już ok. 50 chętnych z Polski wpłaciło 30261 DM za „BMW 524td” lub 32029 DM za ten model z automatyczną skrzynią biegów i przez kilka miesięcy czekać będą na dostawę.

Zderzenia



z TEMIDĄ

Na 120 tys. zł. Sprawa o zatrzymaniu trafiła do arestu śledczego, gdyż prokurator zastosował ten surowy środek zapobiegawczy. Zastosował uznając — i z tym stanowiskiem trudno polemizować — iż prowadzenie samochodu po spożyciu alkoholu jest wysoce naganne, gdy zaś dochodzi do wypadku spotykać się już z przestępstwem, które należy ścigać i surowo karać.

„Po osądzeniu mnie w areście — pisze do mnie wspomniany na wstępie sprawca kolizji — przeżyłem szok, a potem, w trakcie trzymiesięcznego przebywania za kratkami najprawdziwszą gehennę i nie wiem do końca, czy kiedykolwiek dojdę do siebie. Siedziałem w wyprawianym żłobku, obcowalem z gwałcicielami, oszustami, ludźmi dokonującymi czynów lubieżnych. Nasłuchi-

łem się wielu opowiadań o różnych sposobach włamania do „kwadratów” — czyli domów, o tym jak sprytnie i szybko odciąć damskie torebki i zniknąć niepostrzeżenie, czy też jak udzielić ciemni, by go ophuszyć a nie zabić. Jeszcze parę miasteczki takiej edukacji, a być może stałbym się dobrze wyszkolonym przestępcą. Uchylene tymczasowe aresztowania przyjętem z najprawdziwszą ulgą”.

Autor tych zwierzeń jak do tej pory nie był karany, pracuje, jest ojcem trojga dzieci, cieszy się dobrą opinią. W jego sprawie jedna ze społecznych organizacji zdecydowała się na złożenie petycji wyrażającej przekonanie, że niefortunny kierowca nigdy więcej nie wejdzie na drogę sprzeczną z prawem. Powiedział i to, że sprawca wypadku natychmiast wyrzucił spowodowaną przez siebie finansową szkodę. Nie mogło to oczywiście oznaczać, że tym samym jego rozrachunek z wymiarem sprawiedliwości został zakończony. Musiał stanąć przed sądem.

Po stosunkowo krótkiej rozprawie (ewidentne dowody winy i przynajmniej jest oskarżony) ogłoszono wyrok, na mocy którego kierowca skazany został na 2 lata pozbawienia wolności (wykonanie tej kary sąd i instancja warunkowo jednak zawiesił), a także 250 tys. zł grzywny; orzeczono również zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych

STANISŁAW SCHELLER

AFORYZMY

Nie tak nie jednoczy ludzi, jak wspólnie przeżyte klęski. Lecz także wspólnie popełnione winy.

Wynalazcy radia i telewizji opłali za przeglądy techniczne samochodów. I tak za okres-

Pochlebstwo jest wyznaniem wiary w głupotę rozmówcy.

Najtrudniejsza decyzja: czy zostać wreszcie człowiekiem?

Władcy cieszą się z postępów transplantologii. A już uda się w miejsce mózgu montować serce odbiorniki tranzystorowe?

● Ośmiem wielkich zakładów zrzeszonych w Krajowej Spółce Przedsiębiorstw Koncentratów Spożywczych — UNISCO wyznaczyło sobie dwudniowe spotkanie (18 i 19) w Tarnowie. Pomysł podał zastępca dyrektora skawieńskiego „Koncentratów” Jan GAJNIAK. Przy okazji kolejnych Targów Zdrowej Żywności słysząc można było narzekania, że nasz przemysł spożywczy dał się zdystansować firmom polonijnym i zakładom rzemieślniczym, w dziedzinie środków o szczególnych walorach zdrowotnych niewiele ma do powiedzenia. I taka była prawda. Wspomniane spotkanie ma służyć opracowaniu strategii na przyszłość; sposobów aktywizacji przemysłu spożywczego w tej dziedzinie. Uczestniczyli w nim centrale PHS, CRS oraz Spółnie. Nie jest wykluczone, że jednym z efektów tego spotkania będzie otwarcie firmowego sklepu UNISCO w Tarnowie, gdzie ma swą siedzibę Krajowe Towarzystwo Propagowania Zdrowej Żywności, patronująca całej sprawie.

● Podczas niedawnego posiedzenia Komisji Zdrowia Społecznego PAN w Krakowie relacjonowano badania prowadzone w Instytucie Fizyki Jadrowej nad właściwo-

ściami radioprotekcyjnymi dołomitu. Zaobserwowano, że roślina znana jako „inulak” — tradesantia — jak również myszki wykazywały większą odporność na napromieniowanie (znoszą o 120 centigradów więcej), jeśli do ich pożywienia dodano dołomit. Zachęcające wyniki tych badań, skłaniają do ich kontynuacji, już oczywiście z udziałem przedstawicieli medycyny i biologów. Zyskałoby jeszcze jedno potwierdzenie, że dołomit ma działanie osłaniające organizmy żywe.

● W Katowicach przy Krajowym Zarządzie Stowarzyszenia Zdrowy Człowiek powstała sekcja ds. chorób alergicznych. W każdy wtorek od 10 do 17 specjalista alergologii udziela telefonizacji (539-207) porad medycznych.

● Tarnowska „Szkoła zdrowego życia” ciągle utrzymuje program zajęć. Zgłoszenia słuchaczy przyjmują Wojevodzki Ośrodek Sportu i Rekreacji, tel. 22-12-88.

● Spore doświadczenie o sobie przemawia z artykułu „Żywił” Płaskowskiej (PRZEKÓJ 2226 i 2227). Autorka, powodowana własnym najlepszym stanem zdrowia, zaczęła się interesować współczesną nauką o odżywianiu. Czasowo mieszka w

brzegach wód, 5. chęć, gorliwość, 6. wyspa z pierzem, 10. skrzydłata Maja, 12. tkanina bawełniana, podobna do batysty, 14. najazd zbrojny, 16. drób blaszany na szczytach wież, 17. roślina lecznicza, też ozdobna doniczkowa, 18. na restauracyjnym stoliku, 20. przyprowadził rog, 21. warsztat na kluski, 23. miejscowość na Podolu, zwycięstwo nad Wołochami, 24. roślina wodna o długich męczynowych, pachnących liściach, 26. węgielny, 27. silne wzruszenie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie do dnia 27 lutego 1988 r. (Decyduje data stempla pocztowego) z dopiskiem na kopercie: „Krzyżówka nr 8”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe odpowiedzi redakcja rozlosuje nagrody w postaci 10 książek.

na okres lat 4, zaś koszty sądowe określono na 58 tys. zł.

Z tym nieprawomocnym wyrokiem nie zgodził się prokurator stojący na stanowisku, że zawieszenie kary pozbawienia wolności jest nieporozumieniem. W skierowanej do sądu II instancji rewizji domagał się osadzenia sprawcy wypadku za kratkami. Właśnie takiej kary — utrzymuje rewizja — wymagały względy prewencji ogólnej, wymagania walki z nieodpowiedzialnymi kierowcami siadającymi po wypiciu alkoholu za kierownicą. Pi-

Planowo: 1. warzywo, cebulka — przyprawa do marynat, 2. w rękach spawacza, 3. judaizm, 4. sitowie, zarosła na

rozwiązanie KRZYŻÓWKI NR 6

Planowo: 7. kolowrotek, 8.

KRZYŻÓWKA

nr 8

Poziomo: 7. lasuch, 8. małe państwo bałkańskie, 9. rzadca, ekonom, 11. stan USA między wielkimi rzekami, 13. starożytny, 14. najazd zbrojny, 16. drób blaszany na szczytach wież, 17. roślina lecznicza, też ozdobna doniczkowa, 18. na restauracyjnym stoliku, 20. przyprowadził rog, 21. warsztat na kluski, 23. miejscowość na Podolu, zwycięstwo nad Wołochami, 24. roślina wodna o długich męczynowych, pachnących liściach, 26. węgielny, 27. silne wzruszenie.

Planowo: 1. warzywo, cebulka — przyprawa do marynat, 2. w rękach spawacza, 3. judaizm, 4. sitowie, zarosła na

rozwiązanie KRZYŻÓWKI NR 6

Planowo: 7. kolowrotek, 8.

CYFRÓWKA

nr 26

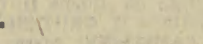
...to tak jak krzyżówka — z tą różnicą, że zamiast hasła każda litera zostaje zastąpiona cyfrą (imiona, nazwy lub nazwiska i inne rzeczowniki użyte są w pierwotnym przypadku liczby pojedynczej). W diagramie obok znajdują się litery, które zostały użyte w cyfrówce, trzy z nich są już umieszczone — aby dać początek...

Rozwiązanie należy nadsyłać do 27 lutego br. z dopiskiem „Cyfrówka nr 26”. Wśród nadesłanych prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy 5 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE CYFRÓWKI Z NR 30 „GK”

A — 16; B — 7; C — 11; D — 2; E — 19; F — 24; G — 10; H — 12; I — 5; J — 20; K — 13; L — 4; M — 15; N — 1; O — 9; P — 18; R — 3; S — 21; T — 6; U — 23; V — 22; Y — 8; Z — 17.

Nagrody otrzymują: U. Zabrzeńska, A. Nowy Sącz, A. Gasiorek — Gorlice, A. Biziub — Nowy Targ, K. Kasprzycki — Myślenice, S. Wawrzyniec — Kraków.



Rozwiązanie należy nadsyłać do 27 lutego br. z dopiskiem „Cyfrówka nr 26”.

Wśród nadesłanych prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy 5 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE CYFRÓWKI Z NR 30 „GK”

A — 16; B — 7; C — 11; D — 2; E — 19; F — 24; G — 10; H — 12; I — 5; J — 20; K — 13; L — 4; M — 15; N — 1; O — 9; P — 18; R — 3; S — 21; T — 6; U — 23; V — 22; Y — 8; Z — 17.

Nagrody otrzymują: U. Zabrzeńska, A. Nowy Sącz, A. Gasiorek — Gorlice, A. Biziub — Nowy Targ, K. Kasprzycki — Myślenice, S. Wawrzyniec — Kraków.



najgorsze to są wzory, choć należy się zgodzić z panią Żywią, że współzależność zdrowia i odżywiania — to temat bardzo rozległy i... kontrowersyjny. Wiele polecam wy-czerpującą szkółkę o błonniku, który w diecie robi karierę, a którego zagadnienie jest zawężany spłynie. Bo nasze go zapotrzebowania na błonnik nie „zafatwimy” konsumując codziennie liżkę otrąb z torkiel. Autorka aglutuje, jadania warzyw i owoców na surowo, bo tylko to zapewni „dowóz mikro- i makroelementów we właściwych proporcjach”. Nie traci się również cennych enzymów roślinnych.

6	18	20	15	10	8	22	7	1	13	6
13	5	5	30	16	13	16	21	5		
9	12	6	15	22	7	5	6	19	21	9
5	9	7	17	19	13	22	6	2		
6	5	17	7	12	13	11	24	11	16	11
20	10	5	22	11	7	11				
21	10	10	31	5	23	10	13	12	21	25
13	8	11	22	14	23	23				
22	16	21	11	14	4	12	5	3	11	6
3	12	7	12	5	16	11	11	13		
11	22	11	23	14	15	6	11	7	9	17
22	24	22	21	5	9	22	9	5	5	
21	22	5	23	11	14	9	17	14	5	23

A	M
B	N
C	O
D	P
E	R
F	S
G	T
H	U
I	V
J	Y
K	Z
L	

Z Warszawy via Tarnów otrzymałam broszurkę o pracowni przy p. Ewie Włodarczyk pt. „Kielki — pokarm pełen życia”. Autorka namawia do zakładania małych (parapetowych) domowych ogródków, w których „niewielkim nakładem sił i środków uprawia się takie skarby żywieniowe, przy których otręby i inne modne u nas ostatnio produkty mogą się schować... do kredensu”. W broszurce wyjaśnia p. Ewa, dlaczego kielki są tak niezwykle cenne, jakżeby nie było, że tym skarbem kuchni, podjęcie metody kielkowania nasion i uprawy siewek na użytk codzienny, 20 lat temu Ann Wigmore założyła w Bostonie Instytut Hipokratesa. Instytut przyczynił się istotnie do spopularyzowania kielków oraz innych pokarmów pełnych życia („living food”) w USA i w Europie.

Nasłona zalecana do kielkowania to nie tylko pszenica i kukurydza (preparowane kielki z nich dostępne są na naszym rynku), wiele atrakcyjnie są do tego celu gorczyca, groszek zielony, kapusta, kolczasta, lucerna siewna, miedzygal, owies, proso, pszenżyto, rzęchucha, rzodkiewka, słonecznik, soczewica, żyto. Nie należy kielkować nasion uszkodzonych i tych, o których

wiadomo, że mogą zawierać skażenia chemiczne. Nie należy kielkować nasion z rodnymi psiankowatych: pomidora i ziemniaka. Podczas kielkowania powstają w nasionach tych roślin szkodliwe dla zdrowia substancje.

W kolejnej rubryce o sposobach kielkowania.

● Lekarzy otrzymali wreszcie pigułkę wiedzy. „Gazeta Lekarska — Świat Medycyny” ma dwóch ojców: Polskie Towarzystwo Lekarskie i Agencję Interpress. Składa się z przedruków i zagranicznej prasy fachowej i codziennej. Zespół znanych z wszechstronności tłumaczy Interpressu przygotował i zeszyt, który z zainteresowaniem przeczytają także nefachowcy. Cytuje „SM”: „Piele dużych łosei kawy, nadmierne przywiązanie do alkoholu i dieta bogata w tłuszcze były uważane za czynniki sprzyjające nowotworowi raka piersi. Wyniki badań omówiłam niedawno w „British Medical Journal” „oczyszczając” kawę. Natomiast związek między pićm alkoholem a rakiem piersi jest w nich potwierdzony statystycznie. Jeśli chodzi o tłuszcze, opinie są sprzeczne”.

W tym samym numerze „P” o górniczych sobotach i sklepach (cena złotych waha się w nich od 1,50 do 3 zł). Wywołują one nadal wiele złości, przyczyniając się do spekulacji, toteż to i owo (ceny) można by skorygować, by nie razić poczucia sprawiedliwości. U podstaw wszystkiego leży decyzja rządu, uchwała 199 z 1981 roku. Inna sprawa, że mało kto z tych, którzy mają za złe, chce pójść do pracy w kopalni, a górnictwo nadal potrzebuje ludzi. Praca w wolne soboty uwarunkowana była celami: dla jednych był to samochód, dla innych telewizor kolorowy czy urządzenie domku. Jeśli te cele będą się oddalały, wielu górników w wolne soboty zostanie w domu.

PRYWATNE SZKOŁY

Od ćwierć wieku mamy prawny zapis o możliwości prowadzenia szkół prywatnych, tym niemniej wokół zakładania prywatnych szkół elementarnych oraz świeżo i przedświatli zrobił się z lekka aferalny klimat. Ledwie sygnały o tej inicjatywie pojawiły się w prasie — pisał PRZEGLĄD TYGODNIOWY — już gorliwi egalityści staneli w obronie jednolitego systemu szkolnego. A popatrzywszy na to spokojnie: jeśli gdzieśkolwiek znajdują się ludzie, którym na najmniejszą choćby skalę, dla kilkuset choćby dzieci uda się stworzyć lepszą od istniejącej szkołę, a uruchomą ją przy tym własnym wysiłkiem i na własną odpowiedzialność, to może to mieć duże znaczenie społeczne. Ukazał on pewną alternatywę dla istniejącego stanu rzeczy. Dowiada, że na to, co dzieje się z dziećmi w szkole, rodzice i nauczyciele mogą mieć wpływ.

PONADTO PRZECZYTAŁISMY: ● W PRZEKROJU raport na temat akumulacji w RAZEM o koncepcji Wideołki Narodowej (wideołka rozwija się żywiło, mamy już 700 tys. magnetowidów) ● W ITD o pomysły Łódzkiej Pracowni Reportażu, by w technice video pokazać tużów naszego dziennikarstwa; na początek zrobiono film o Kanuścinie. ● W ŻYCIU LITERACKIM — remonty krakowskich udrzówkowników impetu ● W ODRZODZENIU społeczny raport o zarobkach w rozwoju wsi i rolnictwa ● W TYGODNIU KULTURALNYM rozmowa z Tadeuszem Hukiem (pisze wiersze, opowiadań, sztuk, maluje i rzeźbi. Mam jeszcze ciałę ogromną potrzebę spalania się).

HALINA KLESZCZ

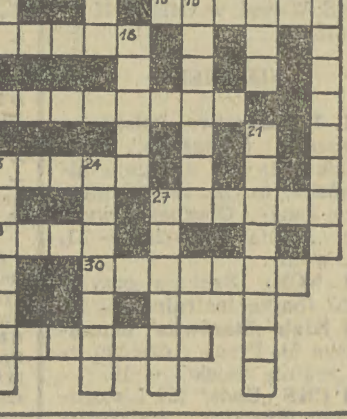
wyprawa, 9. czajnik, 11. tusz, 13. siodło, 15. twaróg, 17. bałans, 19. konwentny, 22. kwinta, 25. cedzak, 27. Berlin, 28. taca, 29. koszar, 30. masekko, 31. kombinator.

Planowo: 1. przybory, 2. polano, 3. kołatką, 4. kołcan, 5. pedant, 6. zaciera, 10. księżnica, 12. żgnilna, 14. lękotka, 16. wrzenie, 17. biwak, 18. sakwa, 20. podwozie, 21. kolektor, 23. watroba, 24. tramwaj, 26. kompot, 27. basior.

NAGRODY WYLOSOWALI

Za prawidłowe rozwiązanie zadań w krzyżówce nr 8 z 1988-02-06, 07 książkę otrzymują: A. Bulat — Debica, M. Jonec — Limanowa, L. Otrebski — Chranów, P. Maksymlik — Wrocław, S. Malcewicz — Tarnów, M. Mielnik — Sobolów, J. Paszkowski — Kamienica, W. Jakubiszyn, K. Luty, J. Komorowski — Kraków.

Nagrody prześlemy pocztą.



Nagrody prześlemy pocztą.

bię tego po wypiciu alkoholu. Zastanawiam się, jaki będzie społeczny pożytek z ewentualnego osadzenia mnie w więzieniu, co zyska społeczeństwo na tym, że ileś tam miesięcy będzie pozbawiony wolności, nie będę pracował, a moje dzieci pozbawione zostaną ojca”.

Pytanie to pozostawiam bez odpowiedzi, tej niech sobie udzieli każdy z osobą. Cytowany tu list kierowcy otrzymałem wśród wielu innych po moim artykule „Represja karna na cenzurowanym”. Nie ukrywam, że wielu moich korespondentów zdecydowanie polemizowało z tendencjami liberalizacji naszego kodeksu karnego. Polemizowali twierdząc, że tylko surowe kary będą mogły utrzymać w przyzwoitym stanie nasze wspólne bezpieczeństwo. Co innego jednak ogólne rozważania o karze i jej skutkach, a co innego konkretny przypadek dający do myślenia. Stąd właśnie wybór historii nietrwałego kierowcy powodowanego wypadku. Czy w każdej tego typu sytuacji właśnie długotrwałe pozbawienie wolności jest rozwiązaniem najlepszym?

Niebawem zakończą się sądowe peripetie mojego korespondenta, jako że sąd II instancji wyda w jego sprawie prawomocny już wyrok. By uniknąć ewentualnych podejrzeń, iż mój dziśniejszy felieton ma charakter interwencji, odstępuję od dotychczas stosowanej metody podawania imion i inicjałów bohaterów moich tekstów, a także do kładniejszej lokalizacji zdarzenia. Nie ukrywam jednak, że na ostateczny wyrok w tej sprawie będę oczekiwał z dużym zainteresowaniem.

JANUSZ HANDEREK



WALKA MŁODYCH CZTERDZIESTOPIĘCIOLATKA

32 strony atrakcji na swe 45-lecie przygotował organ ZSNP — WALKA MŁODYCH. Obok ponurych szczegółów tragedii na Diabliaku (analizowanej także przez „Przełaz, Tyg.”) rozstrzygnięcie konkursu na największy kicz minionego roku. Zaszczepny tytuł „Złote jelenia na rykowisku — 1987” otrzymują decyzją jury, któremu przewodniczył dziennikarz „Kulturę” Marek Kasz, twórcy i realizatorzy programu telewizyjnego „Łoża” czyli duet Ross — Korpołewski. Srebro przypadło organizatorom wyborów Miss Polonia („w cywilizowanym bądź co bądź kraju targ żywym towarem”). Wśród gwiazd numeru m. in. Bohdan Smoleń. A poważnie rzecz ujmując, znajdziemy w tym numerze wiadomości, kto tworzył WALKĘ MŁODYCH, kto do niej pisał, kto jej szefował, itd.

MARZEC '88

Autorzy POLITYKI — Zbysław Bykowski i Wiesław Władysław 20 lat temu mieli po 20 lat i byli studentami Uniwersytetu Warszawskiego, znaleźli się w centrum wydarzeń, które nie tylko przeszły do historii, ale i późniejszą historię w dużej mierze ukształtowały. Na łamach POLITYKI bilansują spuściznę Marca proponując Czytelnikom bardzo ciekawe kalendarium wydarzeń politycznych rozpoczynające się datą 24 października 1957 a kończące 9 listopada 1963 r. wiadomością z XIII Plenum KC. We wstępie do tego kalendarium stwierdza: „W Marcu połączył się i pomieszał autentyczny protest społeczny przeciwko metodom rządzenia wyrażony przez studentów i środowiska intelektualne z grą polityczną; poszukiwanie dróg wyjścia z kryzysu z manipulacją; dążenie do reformy socjalizmu z tendencjami antysocjalistycznymi; rewolucyjna narodowa tradycja i nacjonalizm”.

W tym samym numerze „P” o górniczych sobotach i sklepach (cena złotych waha się w nich od 1,50 do 3 zł). Wywołują one nadal wiele złości, przyczyniając się do spekulacji, toteż to i owo (ceny) można by skorygować, by nie razić poczucia sprawiedliwości. U podstaw wszystkiego leży decyzja rządu, uchwała 199 z 1981 roku. Inna sprawa, że mało kto z tych, którzy mają za złe, chce pójść do pracy w kopalni, a górnictwo nadal potrzebuje ludzi. Praca w wolne soboty uwarunkowana była celami: dla jednych był to samochód, dla innych telewizor kolorowy czy urządzenie domku. Jeśli te cele będą się oddalały, wielu górników w wolne soboty zostanie w domu.

PRYWATNE SZKOŁY

Od ćwierć wieku mamy prawny zapis o możliwości prowadzenia szkół prywatnych, tym niemniej wokół zakładania prywatnych szkół elementarnych oraz świeżo i przedświatli zrobił się z lekka aferalny klimat. Ledwie sygnały o tej inicjatywie pojawiły się w prasie — pisał PRZEGLĄD TYGODNIOWY — już gorliwi egalityści staneli w obronie jednolitego systemu szkolnego. A popatrzywszy na to spokojnie: jeśli gdzieśkolwiek znajdują się ludzie, którym na najmniejszą choćby skalę, dla kilkuset choćby dzieci uda się stworzyć lepszą od istniejącej szkołę, a uruchomą ją przy tym własnym wysiłkiem i na własną odpowiedzialność, to może to mieć duże znaczenie społeczne. Ukazał on pewną alternatywę dla istniejącego stanu rzeczy. Dowiada, że na to, co dzieje się z dziećmi w szkole, rodzice i nauczyciele mogą mieć wpływ.

PONADTO PRZECZYTAŁISMY: ● W PRZEKROJU raport na temat akumulacji w RAZEM o koncepcji Wideołki Narodowej (wideołka rozwija się żywiło, mamy już 700 tys. magnetowidów) ● W ITD o pomysły Łódzkiej Pracowni Reportażu, by w technice video pokazać tużów naszego dziennikarstwa; na początek zrobiono film o Kanuścinie. ● W ŻYCIU LITERACKIM — remonty krakowskich udrzówkowników impetu ● W ODRZODZENIU społeczny raport o zarobkach w rozwoju wsi i rolnictwa ● W TYGODNIU KULTURALNYM rozmowa z Tadeuszem Hukiem (pisze wiersze, opowiadań, sztuk, maluje i rzeźbi. Mam jeszcze ciałę ogromną potrzebę spalania się).

JANUSZ HANDEREK